

- ❑ ZAMORDOWANIE REWOLUCYJNEGO SOCJALIZMU
- ❑ WYBORCZE ZWYCIĘSTWO RZECZNIKÓW
KAPITALIZMU
- ❑ BUDŻET 1996
- ❑ ASYMETRYCZNE WSPÓŁZALEŻNOŚCI

NR 1 (15) MARZEC 1996

PRZEGLĄD

PISMO NIEZALEŻNE

KRYTYCZNY

REWOLUCYJNY SOCJALIZM NIE MUSIAŁ UPAŚĆ ZOSTAŁ ZAMORDOWANY

KAZIMIERZ MIJAŁ

ROBOTNIKOM TRZEBA MÓWIĆ PRAWDĘ

Wróćmy jeszcze raz do głównych przyczyn klęski „realnego socjalizmu” w krajach europejskich tzw. „wspólnoty socjalistycznej”, szczególnie w ZSRR i PRL. Robotnikom trzeba mówić prawdę, choćby była ona najbardziej bolesna, ponieważ uczą się oni najlepiej na własnych błędach. Klasa robotnicza po utracie władzy politycznej w państwie, aby mogła rozwinąć od początku zorganizowaną walkę o jej odzyskanie nie może opierać się na twierdzeniach wulgarnych filozofów, ekonomistów, historyków czy politologów burżuazyjnych, którzy celem oszukania robotników, umocnienia kapitalizmu i przedłużenia panowania burżuazji, głoszą pseudonaukowe brednie na temat Marksa, marksizmu i komunizmu np. o wyższości klasowego społeczeństwa kapitalistycznego nad bezklasowym społeczeństwem komunistycznym, że Marks jest „utopistą”, a marksizm nie nauką, lecz „religijnym prorocstwem” i innych tego rodzaju kłamstwach.

Marks jest genialnym teoretykiem klasy robotniczej! Jego nauka jest zgodna z klasowymi interesami proletariatu. Nie wymyślił on żadnej koncepcji idealnego socjalizmu, lecz w sposób naukowy udowodnił dwa wielkie odkrycia:

„Materialistyczne pojmowanie dziejów i odsłonięcie tajemnicy produkcji kapitalistycznej za pośrednictwem wartości dodatkowej. Dzięki tym odkryciom - mówi Engels - socjalizm stał się nauką, chodzi teraz o to, by tę naukę rozwijać teraz dalej we wszystkich jej szczegółach i powiązaniach... socjalizm od czasu, gdy stał się nauką wymaga, by traktowano go jako naukę tzn. by go studiowano”.

Powyższych odkryć Marksa nikt w sposób naukowy nie tylko nie obalił, lecz nawet nie podważył. Materialistyczne krytyczne pojmowanie dziejów stało się podstawą badań obiektywnych praw rządzących rozwojem światowej formacji kapitalistycznej, która nie jest wieczną, lecz ma charakter historyczny, przemijający, jak poprzednie światowe formacje społeczno-ekonomiczne: niewolnictwo i feudalizm. Marks odkrył i uzasadnił w sposób naukowy także rolę, zadania i niezbędną potrzebę posiadania przez klasę robot-

czą własnej, samodzielnej i niezależnej organizacji, nie tylko robotniczych związków zawodowych, ale również partii, jako politycznej siły kierowniczej w walce rewolucyjnej o zdobycie władzy politycznej w każdym kraju, celem przekształcenia społeczeństwa kapitalistycznego w komunistyczne, tj. bezklasowe, w skali światowej.

Marks krytykowany jest gołosłownie przez tzw. „wykształcone śmiecie” (jest to określenie Engelsa i Lenina odnoszące się do tego rodzaju krytyków Marksa i marksizmu), bez przytoczenia jakiegokolwiek tezy teoretycznej, którą ci mędrcy byłiby w stanie obalić w sposób naukowy. Mówią oni: Marks jest „utopistą” i „prorokiem” i domagają się od robotników, by wierzyli im na słowo, lecz zapominają, że na słowo wierzą tylko idioci. Socjalizm naukowy Marksa jest przeciwieństwem wszystkich „socjalizmów” przedmarksowskich, w tym i socjalizmu trzech wielkich utopistów, jak i socjalizmu burżuazyjnego i drobnomieszczańskiego, które pod naporem mas pracujących i wyzyskiwanych, godzą się przejściowo na niwielkie ustępstwa np. w zakresie praw socjalnych, lecz nigdy na ostateczną likwidację kapitalizmu.

Socjalizm naukowy Marksa nie jest dogmatem. Odkrycie obiektywnych praw rządzących rozwojem światowej formacji kapitalistycznej można i należy dalej rozwijać, mówili o tym sami twórcy marksizmu (Marks i Engels), lecz trzeba go przede wszystkim znać za studiowania oryginalnych dzieł Marksa i Engelsa. Jednak „wykształcone śmiecie” nie są bojownikami ani miłośnikami prawdy, lecz wulgarnymi obrońcami kapitalizmu, dla których dzieła Marksa są w najlepszym przypadku, zamknięte na siedem klódek.

Rezultatem reform kolejnych rządów: Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego stało się nie umocnienie PZPR, jako partii o charakterze proletariackim, ani rozwój planowego i proporcjonalnego budownictwa socjalistycznego w oparciu o podstawowe zasady marksizmu, lecz wprost przeciwnie, pogłębienie degeneracji partii i budownictwa socjalistycznego, co doprowadziło do klęski socjalizmu i restauracji kapitalizmu, niezależnie od tego czy działali oni świadomie, czy też zadowoleni z siebie płynęli na fali wydarzeń.

Gomułka i Gierek oświadczały niejednokrotnie, że są „komunistami”, a general Jaruzelski mówiąc z trybuny KC, że „socjalizmu będziemy bronić

taj, jak się broni niepodległości", nie dotrzymał słowa. Nie byli oni komunistami, ani marksistami, lecz pravicowymi oportunistami lub karierowiczami. Jednak w tak groźnym narastaniu sprzeczności antagonistycznych w całym społeczeństwie, nawet osobista uczciwość przywódcy nie usprawiedliwia jego kardynalnych błędów ideowych i politycznych, które przecież miały charakter całkowitego odejścia w praktyce od podstawowych zasad marksizmu i oznaczały zdradę klasowych interesów proletariatu, rewolucji socjalistycznej i socjalizmu. Fakty trzeba nazywać po imieniu. Ojcami zdrady są zdrajcy, których nie usprawiedliwia ani ich osobista uczciwość, ani tym bardziej głupota polityczna, ponieważ prawie połowa społeczeństwa została zepchnięta na dno ubóstwa i nędzy.

Rewolucyjny socjalizm nie upadł jako utopia, jak twierdzą wulgarni obrońcy kapitalizmu, lecz został zamordowany przez jego wrogów, współczesnych rewizjonistów, tj. pravicowych oportunistów, którzy w Polsce w okresie lat 1956-1989, weszli otwarcie na drogę rewizji podstawowych zasad marksizmu, pod oszukańczym szyldem reformowania socjalizmu przy pomocy wolnego rynku i demokracji burżuazyjnej, co nieuchronnie musiało doprowadzić do stopniowego degenerowania rewolucyjnego socjalizmu, zakłóceń społeczno-politycznych (1956, 1970, 1980-89), zerwania więzi z klasą robotniczą i pokojowego przekazania władzy politycznej w państwie „solidarnościowemu” ruchowi politycznemu, który w rzeczywistości był i jest słabo maskowaną agenturą ideowo-polityczną imperializmu amerykańskiego, gorliwie popieraną przez politykę Watykanu i Episkopatu Kościoła w Polsce.

„Realny socjalizm” to nic innego, jak zdegenerowany rewolucyjny socjalizm Marksa przez burżuazyjne i drobnomieszczańskie kierownictwo partii rządzącej, rezultat polityki socjaldemokratycznego reformizmu, a więc owoc nie marksizmu, lecz jego wrogów, wrogów klasy robotniczej, rewolucji socjalistycznej i dyktatury proletariatu.

Cóż winien jest Marks i jego teoria dotycząca obiektywnych praw rządzących rozwojem światowej formacji kapitalistycznej, że rewolucyjny socjalizm w ZSRR i PRL został zamordowany przez pravicowo-oportunistyczne kierownictwo tak KPZR jak i PZPR? Dla przykładu, coż winna jest np. naukowa technologia produkcji materiałów żelazobetonowych i wytrzymałości konstrukcji stalowych, gdy inżynierowie budując dom towarowy w Seulu, celem zwiększenia zysku na „oszczędności” materiałów, odeszli do zasad naukowych techniki i wielopiętrowy gmach zawalili się grzebiąc kilkaset osób? Prokuratura seulska nie uznała jednak teorii budownictwa wysokościowego za błędną, lecz podjęła decyzję o aresztowaniu inżynierów-wykonawców jako odpowiedzialnych za błędy w budownictwie i śmierć niewinnych ludzi.

Marks nie jest „utopistą”, jego pierwsza faza komunizmu rozpoczyna się po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej i ustanowieniu dyktatury proletariatu, a więc państwa, w którym istnieją jeszcze klasy starego społeczeństwa, lecz władza polityczna znajduje się już, pośrednio lub bezpośrednio, w rękach, nie burżuazji, lecz proletariatu wielkoprzemysłowego zorganizowanego w klasę panującą, która skupia wokół siebie masy pracujące i wyzyskiwane całego kraju i politycznie kieruje ich działalnością społeczno-polityczną poprzez swoją rewolucyjną partię i powszechną organizację Rad Ludu Pracującego, jako przeciwieństwo burżuazyjnego parlamentaryzmu, do których nie mogą być wybierani wyzyskiwacze cudzej pracy.

Rewolucyjny socjalizm w Polsce Ludowej był od początku wypaczany i deformowany przez pravicowy oportunizm, którego frakcje bermanowszczyzny i gomulkowszczyzny, spychając robotników już w PPR, a następnie PZPR, do nic nie znaczącej mniejszości, opanowały naczelne władze partii i państwa i w latach 1956-1989 doprowadziły do coraz bardziej pogłębiających się degeneracji partii i ustroju politycznego, aż sprawa dojrzała do pokojowego przejścia od socjalizmu do kapitalizmu.

Frakcja bermanowszczyzny w okresie odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych (1944 - 1948) stała na stanowisku socjalizmu drobno-mieszczańskiego i pod tym względem zgadzała się ze stanowiskiem Gomułki. W latach 1949-1955, pod naciskiem ideowo-politycznym KPZR nastąpił poważny, lecz w rzeczywistości pozorny, zwrot w kierunku rewolucyjnego socjalizmu. Jednak już w 1954 r. podczas II Zjazdu PZPR, gdy Chruszczow powiedział, że w kierownictwie PZPR jest za dużo „Abramowiczów”, nastąpił nieoficjalny podział na grupę „puławską” i „natolińską”. Puławianami nazywano pravicowo-oportunistyczną frakcję bermanowszczyzny, wroga marksizmowi i ZSRR. Natomiast łatkę natolińską przyklepiono komunistom, otwarcie broniącym marksizmu, rewolucji socjalistycznej i dobrych stosunków Polski z ZSRR, za co nazywano ich także dogmatykami.

Bermanowszczyzna potraktowała wypowiedź Chruszczowa, jako wezwanie do pociągnięcia jej do odpowiedzialności karnej za tzw. stalinizm, tj. stosowanie bezprawnego terroru w śledztwie przez organy bezpieczeństwa publicznego, i tym samym odsunięcia jej od władzy, która dotychczas znajdowała się niepodzielnie w jej rękach. Ponieważ organy bezpieczeństwa, gdy chodzi o kierownictwo resortu i urzędów wojewódzkich, były obsadzone w całości przez frakcję bermanowszczyzny, stanął przed jej oczyma los Berii i utrata kierowniczej roli w PZPR i PRL. Sytuacja była skomplikowana, ponieważ Bierut wystąpił przeciw współczesnemu rewizjonizmowi. Tuż po naradzie partyjnej w listopadzie 1954 r. powiedział mi „sprawę zdrady frakcji rewizjonistycznej rozstrzygniemy na najbliższym zjeździe partii”.

Jednak Bierut zmarł w Moskwie i sprawy potoczyły się inaczej, przeciwko niemu. Bierut, po śmierci, nie mógł się bronić przed oszczerstwami, ani bronić marksizmu i rewolucyjnego socjalizmu przed wypaczeniami. Stał więc się wymarzoną ofiarą dla bermanowszczyzny i samego Gomułki. Przerzucając na Bieruta całą odpowiedzialność za wszystkie błędy i wypaczenia tego okresu, przede wszystkim za łamanie praw przez organy bezpieczeństwa publicznego i wysuwając Gomułkę na I Sekretarza KC PZPR, bermanowszczyzna jednym strzałem ubiła dwa займы: uniknęła, na razie, pociągnięcia jej do odpowiedzialności karnej i politycznej za stosowanie bezprawia przez jej organy bezpieczeństwa, i przejściowo umocniła swoją kierowniczą rolę w PZPR i PRL.

Przeprowadzenie historycznego oszustwa politycznego przyszło tym łatwiej, gdyż Gomułka nie znosił Bieruta, ponieważ już w okresie okupacji hitlerowskiej różnili się ideowo i politycznie. Bierut bronił rewolucyjnej drogi do socjalizmu, co odpowiadało ówczesnej rzeczywistości.

Gomułka zaś stał na stanowisku pokojowego przejścia od kapitalizmu do komunizmu za wszelką cenę, gdy w kraju Komenda Główna AK, wierna rządowi londyńskiemu, stała z „bronią u nogi”, aż się wykrawiały dwaj wrogowie, i przygotowując się do powstania celem objęcia władzy w wyzwolonym kraju przez wojska zachodnich aliantów, domagała się całkowitej kapitulacji PZPR i rozwiązania KRN, a więc bezwarunkowego podporządkowania się rządowi londyńskiemu, a w latach 1944 - 1947 toczyła się wojna domowa. Gomułka po śmierci Bieruta, awansowany przez bermanowszczyznę na I Sekretarza KC PZPR, odwdziczył się zawieszając „kotarę milczenia” nad tzw. bermanowskim okresem błędów i wypaczeń i w ten sposób wyrósł na krzywdzie Bieruta.

Totalne potępienie organów bezpieczeństwa publicznego jest niesłuszne, ponieważ w okresie 1944 - 1954 odegrały one wielką rolę, znajdując się na pierwszej linii walki z siłami kontrrewolucji o umocnienie władzy ludowo-demokratycznej pod kierownictwem klasy robotniczej i jej partii. Gdy okazało się, że w organach bezpieczeństwa publicznego miało miejsce łamanie praworządności, zaistniała konieczność pociągnięcia do odpowiedzialności osób za konkretne przestępstwa czy zbrodnie, lecz tego rodzaju kuźnią bezprawia był przecież nie Belweder, lecz Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, które personalnie znajdowało się w rękach bermanowszczyzny. Jednak „dobry i praworządny” Gomułka, wiedząc o tym, zgadzał się na haniebne fałszowanie rzeczywistości. Poza tym oskarżanie Bieruta z wprost zwierzęcą nienawiścią, przy całkowitym przemilczeniu takich baranków bożych jak Berman, Minc, Ochab, Radkiewicz czy Cyrankiewicz stanowi grubymi nićmi szyte fałszowanie historii.

Bierut nie był zbrodniarzem, był komunistą i wrogiem współczesnego rewizjonizmu, był internacjonalistą proletariackim i wybitnym działaczem międzynarodowego ruchu komunistycznego i takim pozostanie, po oczyszczeniu historii polskiego ruchu komunistycznego i całej historii Polski Ludowej z fałszerstw fabrykowanych przez tzw. „wyszkolone śmiecie”, które uwiły sobie gniazdko w całym froncie ideowo-politycznym, szczególnie w prasie, radiu i telewizji oraz niektórych instytucjach naukowych PAN.

Bermanowszczyzna, rehabilitując Gomułkę w 1956 r., celem ratowania własnej skóry przed odpowiedzialnością i utrzymania władzy politycznej w swoich rękach, weszła oficjalnie na drogę socjaldemokratycznego reformizmu, która była także drogą Gomułki od początku jego działalności w PPR, tak podczas okupacji hitlerowskiej, jak i w latach 1944 - 1948. Jednak jej koalicja z gomulkowszczyzną oznaczała próbę pojednania dwóch nacjonalizmów, polskiego i żydowskiego, ponieważ trzonem grupy „puławian” była pravicowo-oportunistyczna inteligencja i drobnomieszczaństwo żydowskiej mniejszości narodowościowej, a więc była to próba połączenia ognia z wodą, koalicja-nietrwała, zaantagonizowana wewnętrznie. W Polsce nacjonalizm polski był silniejszy, dlatego też personalne filary bermanowszczyzny po-

częły stopniowo kruszyć się i wypadać z kierownictwa PZPR, gdy stosunki Gomułki z Chruszczowem stawały się lepsze.

Dla chruszczowskiego rewizjonizmu większe znaczenie polityczne miała gomułkowska baza nacjonalizmu polskiego niż żydowskiego. Już w 1957 roku Chruszczow powiedział w Warszawie: *kto nie zgadza się z Gomułką, ten występuje przeciwko Związkowi Radzieckiemu*. Jednak bermanowszczyzna nie skapitulowała, ze strachu przed odpowiedzialnością za łamanie praworządności przez jej organy bezpieczeństwa publicznego i groźbą utraty władzy, podjęła walkę o umocnienie swoich wpływów w partii i państwie.

Temu celowi służyły wydarzenia marcowe 1968 roku, zainspirowane przez nią na bazie zwycięstwa Izraela, jako agresora, nad Arabami w 1967 r. Bermanowszczyzna opowiedziała się za Izraelem, przeciwko zerwaniu z nim stosunków dyplomatycznych przez ZSRR, PRL i inne państwa socjalistyczne.

W ostatnich latach panowania Gomułki sytuacja ekonomiczna kraju uległa pogorszeniu. Rosły ceny, inflacja i niezadowolenie społeczeństwa, szczególnie klasy robotniczej. Zapowiedź gomułkowszczyzny przejścia do tzw. „gospodarki selektywnej” i częściowego bezrobocia oraz ogłoszenie noworocznej podwyżki cen na niektóre towary konsumpcyjne, doprowadziły do grudniowych wydarzeń. Gomułka musiał odejść, jego miejsce zajął Gierek, przywieziony w „teczce” z Belgii w 1948 r. przez bermanowszczyznę. Poza tym wymianę Gomułki na Gierka, który odbudowywał ze zniszczeń wojennych nie Polskę, lecz *Belgię*, poparła również grupa generałów-spiskowców, na czele której stał, jak to określił gen. Kiszczak, sam gen. Jaruzelski.

Cały okres (1956-1989) był wypełniony różnego rodzaju reformami burżuazyjnymi, które ożywiały i umacniały elementy burżuazyjne i gospodarkę rynkową, co szczególnie w dekadzie Gierka przyspieszało pogłębienie degeneracji i zwyrodnienie partii i ustroju socjalistycznego. W latach 1980 - 1989 kraj został pogrążony w długach zagranicznych i wskutek embarga amerykańskiego, spadku tempa produkcji i dochodu narodowego oraz fali strajków i dywersyjnej działalności KOR-u, ustrój socjalistyczny uległ dalszej degeneracji. Gospodarka planowa leżała w gruzach. Pogłębił się ostry kryzys społeczno-polityczny. PZPR z racji składu socjalnego i opanowania jej kierownictwa przez elementy burżuazyjne i drobnomieszczańskie utraciła charakter proletariacki. Na czele partii i państwa stanęli, nie wielcy reformatorzy i przywódcy proletariatu wielkoprzemysłowego, lecz generał Wojciech Jaruzelski, syn obszarnika i M. Fr. Rakowski, burżuazyjny publicysta, świadomi rzecznicy i obrońcy demokracji burżuazyjnej i kapitalistycznej gospodarki rynkowej, główni likwidatorzy PZPR i grabarze PRL.

Frakcja bermanowszczyzny powiązana ideowo, kołesiowo i rodzinnie z kontrewolucyjnymi „komandosami”, przedstawicielami KOR-u i doradcami burżuazyjnego „solidarnościowego” ruchu politycznego, pociągnęła za sobą oszukanych robotników do walki o ostateczne przejście od socjalizmu do kapitalizmu.

Pod wpływem propagandy politycznego zakłamania, błogosławieństwa hierarchii Kościoła i bezpodstawnych obietnic na temat przekształcenia Polski Ludowej, w drodze wolnego rynku i pod sztandarem demokracji burżuazyjnej, w kraj mlekem i miodem płynący, nie można było nawet mówić o konieczności obrony socjalizmu i marksizmu. Oglupianie i oszukiwanie nieświadomej części mas pracujących hasłami i żądaniami wysuwanymi przez kontrewolucyjnych przywódców „solidarnościowych” zostało doprowadzone do absurdu.

W latach 1980 - 1989 robotnicy pozbawieni rewolucyjnego kierownictwa PZPR i oszołomieni hasłami patriotycznymi i religijnymi, przez przywódców i doradców „solidarnościowych” i Kościoła, haniebnie wlekli się w ogonie burżuazji i reakcji. W 1989 r. byliśmy świadkami tragicznego w skutkach i odrażającego politycznie widowiska, które rozwijało się żywiołowo w atmosferze religijnych pieśni, nabożeństw w fabrykach i spontanicznych demonstracji ulicznych oszukanych robotników, manifestujących całkiem nieświadomie na cześć i chwałę zwycięstwa burżuazji i reakcji nad klasą robotniczą. Wierzyć się nie chce, lecz tak właśnie było! Takiej publicznej hańby nie widział świat. Było to widowisko straszne, lecz zaprojektowane przez kadrę „wykształconych śmieci”, składającą się z aktywu kierowniczego zdegenerowanej PZPR, jak i doradców i przywódców „solidarnościowych” i Kościoła. Fala propagandowego kadzenia i czarowania społeczeństwa, szczególnie klasy robotniczej, złudzeniami wkroczenia w erę kapitalistycznego dobrobytu, humanizmu, wolności i sprawiedliwości społecznej doprowadzona do zbiorowego szaleństwa i egzałtacji, a więc wprost religijnego fanatyzmu i oglupienia, musiała zakończyć się wielką klęską, kubłem zimnej wody na głowy

oszukanych robotników, „bojowników restauracji kapitalizmu”. Złudzenia te, w konfrontacji z twardą rzeczywistością, musiały prysnąć jak bańka mydlana.

Trzymilionowe bezrobocie, galopująca inflacja, spadek produkcji i dochodu narodowego oraz radykalne obniżenie poziomu życia najszerzych mas pracujących i coraz bardziej bezlitośnie wyzyskiwanych, otworzyły oczy większości oszukanych robotników. Przez kogo oszukanych? Przez kontrewolucyjną część inteligencji polskiej i żydowskiej mniejszości narodowej, która stanowiła i nadal stanowi trzon pravicowo-opportunistycznej bermanowszczyzny. Całe to kontrewolucyjne widowisko, w okresie lat 1980-1989 i do chwili obecnej popiera i błogosławi Kościół. Oszukani robotnicy dopiero teraz zrozumieli, i to jeszcze nie wszyscy, o co walczyli w rzeczywistości i za co przelewali krew pod sztandarem „solidarnościowego” ruchu politycznego, haniebnie wlokąc się w ogonie burżuazji.

Okazało się, że hasło „socjalizm tak, wypaczenia nie”, wysunięte przez siły kontrewolucji, służyło do zamydlenia oczu masom pracującym, osłabienia czujności rewolucyjnej robotników i stępienia ostrza walki klasowej, czego rezultatem stało się wzmocnienie wyzysku klasy robotniczej, stałe bezrobocie, emigracja za chlebem i pogardliwy stosunek „wykształconych śmieci” do proletariatu.

Masowy udział robotników pod burżuazyjnym sztandarem „solidarnościowego” ruchu politycznego, historia oceni surowo, jako: wyraz niedojrzałości ideowo-politycznej przede wszystkim działaczy robotniczych (którzy w ogromnej mierze nie są robotnikami) oraz bezmyślnego i samobójczego wleczenia się klasy robotniczej w ogonie burżuazji. Jest to bolesna, lecz historyczna prawda.

Prawdę tę muszą uświadomić sobie przede wszystkim oszukani robotnicy. Przysłowie lacińskie głosi: „błądzić jest rzeczą ludzką, ale obstać przy błędzie tylko głupiec”. Nie chodzi tu o potrzebę kajania się, ani publicznego potępienia nieświadomych robotników, a tym bardziej o religijną pokutę, lecz o świadome robotnicze stwierdzenie historycznego faktu i wyciągnięcie z tej haniebnej klęski rewolucyjnych wniosków. Gdy to nastąpi, przejaw przejściowej fali burżuazyjno-kościelnej oglupienia mas pracujących może i powinien przekształcić się w masowy gniew rodzący rewolucyjny bunt i świadome pragnienie walki na śmierć i życie o wyzwolenie klasy robotniczej z niewoli pracy najemnej.

Aby tak się mogło stać, robotnicy, szczególnie proletariat wielkoprzemysłowy, muszą krytycznie spojrzeć na wydarzenia i haniebną rolę swoich przywódców nie tylko ostatniego sześćdziesięciolecia, lecz również całego 45-lecia PRL. Błędy i oszustwa polityczne należy zdemaskować, potępić i odrzucić, by w ten sposób uczciwie oczyścić własne szeregi i drogę do rewolucyjnego marszu naprzód. Należy umocnić jedność i solidarność działania samej klasy robotniczej, wysuwając śmiało i zdecydowanie na miejsce łotrów i wilków w owczej skórce, wiernych i wypróbowanych robotników, by w sposób zorganizowany, w związkach zawodowych robotników i w rewolucyjnej partii klasy robotniczej, mogła ona wejść bez żadnej zwłoki na drogę walki o odzyskanie władzy politycznej w państwie.

Jest to obecnie główny cel oraz najważniejsze zadanie klasy proletariatu wielkoprzemysłowego, jako głównej i kierowniczej siły politycznej najszerzych mas pracujących i wyzyskiwanych całego kraju. O mądrości klasy robotniczej świadczyć mogą tylko słuszne wnioski wyciągnięte z własnych błędów i wielkiego oszustwa ideowo-politycznego „wykształconych śmieci” oraz zdemaskowania pobożnej obłudy Kościoła, nie tylko w okresie 1980 - 1989, ale również w ostatnich sześciu latach grabieży majątku narodowego przez wielkich szabrowników-złodziei.

DEGENERACJA PARTII KLASY ROBOTNICZEJ

W Rosji podczas rewolucji socjalistycznej było około trzy miliony robotników na 150 mln ludności, a w Polsce w 1938 r. około półtora miliona na 35 milionów ludności, a więc proporcjonalnie do ludności było ich dwa razy więcej. W Rosji, po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej, klasa robotnicza i jej partia bolszewików, przejęła bezpośrednio władzę polityczną organizując państwo dyktatury proletariatu w drodze przekształcenia proletariatu w klasę panującą.

W Polsce klasa robotnicza, w sprzyjających warunkach międzynarodowych, przejęła władzę polityczną pośrednio, w sojuszu z masami pracującymi chłopstwem i drobnomieszczaństwem, tworząc koalicję, blok czterech stronnictw demokratycznych; przystąpiła do organizacji państwa demokracji lu-

dowej, pod politycznym kierownictwem klasy proletariatu i jego partii, Polskiej Partii Robotniczej. Była to forma przejściowa, wynikająca z ówczesnej sytuacji międzynarodowej i postanowień koalicji antyhitlerowskiej, która jednak prowadziła również do stopniowego przekształcenia proletariatu w klasę panującą.

O różnych drogach przejścia od społeczeństwa kapitalistycznego do komunistycznego wypowiadali się niejednokrotnie Marks i Engels. Zнали je i potwierdzali ich słuszność: Lenin, Stalin i Mao Tse-tung. Przypisywanie Gomułce autorstwa sformułowania koncepcji „polskiej drogi do socjalizmu”, wynika z nieznamośności podstawowych dzieł Marksa i Engelsa, nie mówiąc już o tym, że stanowisko Gomułki w tej sprawie nie miało nic wspólnego ze stanowiskiem twórców marksizmu, było bowiem słabo zakamuflowaną ideą socjalizmu drobnomieszczańskiego o możliwości pokojowego przejścia od społeczeństwa kapitalistycznego do komunistycznego bez rewolucji socjalistycznej i dyktatury proletariatu.

Okres budownictwa socjalistycznego tak w ZSRR, jak i w PRL został uświęcony zbudowaniem bazy materialnej socjalizmu. O wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną świadczy dwu- i trzykrotnie wyższe tempo wzrostu produkcji przemysłowej i dochodu narodowego krajów socjalistycznych niż państw wysoko uprzemysłowionych oraz radykalna zmiana struktury społeczeństwa. W latach klęski socjalizmu klasa robotnicza w ZSRR stanowiła dwie trzecie społeczeństwa, a w PRL - połowę. Poza tym ZSRR, mocarstwo socjalistyczne, stanowiło potęgę militarną nie ustępującą Stanom Zjednoczonym Ameryki. Świadczy o tym zwycięstwo nad hitlerowskim agresorem i wejście jednej trzeciej ludności świata na drogę budownictwa socjalistycznego.

Jak więc mogło się stać, że przy tak wielkich osiągnięciach społeczno-politycznych socjalizmu w bazie i nadbudowie, tak w ZSRR jak i w PRL, nastąpił upadek, historyczna klęska socjalizmu, oddanie władzy politycznej w państwie wręce rodzimej i międzynarodowej burżuazji, nie tylko bez walki, lecz nawet bez próby jej obrony ze strony kierownictwa, bez żadnego, zorganizowanego ani spontanicznego, wystąpienia na ulice proletariatu wielkoprzemysłowego w obronie rewolucyjnego socjalizmu? Na oczach biernej postawy proletariatu wielkoprzemysłowego, tak w ZSRR jak i PRL, przysłowiowy niedźwiedź rosyjski, Jelcyń, mógł w Puszczy Białowiejskiej zagryźć ZSRR, a w Moskwie rozstrzelać parlament. W Polsce generał i prezydent Jaruzelski, zapewniając obłudnie, że „socjalizmu będziemy bronić tak jak niepodległej Polski”, strzelał tylko do oszukanych robotników, by nieco później przekazać burżuazji i reakcji władzę polityczną w państwie w sposób pokojowy, demokratyczny i humanitarny przy Okrągłym Stole. Taka jest historyczna prawda!

Klęska socjalizmu w ZSRR czy w PRL nie oznacza końca wojny między klasami: burżuazji i proletariatu, ani tym bardziej „końca historii”, lecz tylko wielką przegraną bitwę, ponieważ rozwój światowej formacji kapitalistycznej wszystkimi drogami zmierza do komunizmu, a więc społeczeństwa bezklasowego, jako naukowej alternatywy społeczeństwa kapitalistycznego.

Robotnicy muszą znać prawdę, co jest główną przyczyną klęski socjalizmu. Nie jest tu winien Marks, ani jego odkrycia naukowe, jak twierdzą wulgarni burżuazyjni ekonomiści i historycy, a bezmyślnie powtarzają za nimi niektórzy działacze związków zawodowych. Główną przyczyną upadku socjalizmu jest odejście kierownictwa partii komunistycznych i robotniczych w tych krajach od marksistowskich zasad budownictwa partyjnego i dyktatury proletariatu, czego skutkiem stała się degeneracja partii klasy robotniczej i związków zawodowych, co oznacza w praktyce przejście kierownictwa partii i państwa przez wykształcone śmiecie, ignorantów marksizmu, karierowiczów i zdrajców, jawnych wrogów rewolucji socjalistycznej i dyktatury proletariatu, a więc wiernych kundli imperializmu i reakcji. Pod takim kierownictwem socjalizm musiał upaść tak w Związku Radzieckim, jak i w Polsce Ludowej.

Marksizm uczy, że klasie robotniczej w walce przeciwko klasie burżuazyjnej podległe są dwie organizacje:

1. związek zawodowy robotników, do którego powinni należeć wszyscy robotnicy każdego przedsiębiorstwa, którzy wybierają swoją zakładową radę robotniczą (zamiast dotychczasowej nazwy „rada zakładowej”), aby sama nazwa świadczyła, że należeć do niej mogą tylko robotnicy. Pracownicy administracji gospodarczej winni organizować się w osobnym związku zawodowym. Rada robotnicza fabryki wybiera spośród swego grona delegata do komisji rad robotniczych miasta, a ta spośród swego grona delegata do komisji rad robotniczych województwa, celem utrzymania stałej łączności przez wszystkich robotników miasta i województwa. Delegaci wybrani spośród komisji wojewódzkich rad robotniczych

stanowią Ogólnokrajową Radę (lub Radę Naczelną) związku zawodowego robotników,

2. rewolucyjna partia klasy robotniczej, według Marksa i Kongresu Haskiego Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników (1872), powinna składać się z awangardy klasy robotniczej tzn. „*tej części klasy robotniczej, która uświadamia sobie wspólne interesy klasy*” (Engels) i stanowi w niej co najmniej dwie trzecie oraz w jej władzach naczelnych i wojewódzkich, tj. około 70-80 proc. Pozostałe zaś 20-30 proc. może składać się ze świadomych rewolucyjnych chłopów, drobnomieszczaństwa i inteligencji, którzy z własnej inicjatywy wyraża wolę, pragnienie wstąpienia do partii i sąw stanie potwierdzić w praktyce swej dotychczasowej działalności, że otwarcie demaskują ideologię i politykę burżuazji i reakcji oraz rzetelnie bronią klasowych interesów proletariatu, ponieważ uznają je za swoje interesy. O ich przyjęciu do partii w charakterze 2-3-letniego stażu kandydackiego decydują komisje odpowiedniego szczebla, złożone z samych robotników, członków partii, o co najmniej 10-letnim stażu pracy w wielkim przemyśle, górnictwie, transporcie i komunikacji.

Związek zawodowy robotników walczy o poprawę warunków ekonomicznych załogi, bezpieczeństwa pracy, zdrowia, wypoczynku itp. Jest szkołą klasowej solidarności i jedności w całej swej działalności, a po zdobyciu władzy politycznej w państwie, staje na porządku dziennym dodatkowo problem aktywnego udziału robotników w gospodarowaniu i zarządzaniu produkcją przemysłu, górnictwa, transportu i komunikacji.

Partia klasy robotniczej na bazie związków zawodowych, nie tylko robotników, walczy o przejęcie władzy politycznej w państwie, celem ostatecznego wyzwolenia klasy robotniczej z niewoli pracy najemnej.

Klasa robotnicza oraz jej związek zawodowy robotników i rewolucyjna partia stanowią jeden zdyscyplinowany i solidarny klasowo organizm działalności społeczno-politycznej. Związek zawodowy robotników nie może zastąpić partii klasy robotniczej, ponieważ jest on organizacją masową, która powinna skupiać ^{prawie} wszystkich robotników o różnym stopniu świadomości klasowej, wynikającej z pochodzenia chłopskiego i drobnomieszczańskiego, przesądów, złudzeń religijnych i tradycji środowiska, z którego pochodzą, w tym i tworzącej się arystokracji robotniczej, natomiast partia klasy robotniczej jest organizacją powołaną do życia nie przez związek zawodowy robotników, lecz jego polityczną awangardę, tzn. najbardziej uświadomionych robotników. Klasie robotniczej potrzebny jest związek zawodowy robotników i rewolucyjna partia, ponieważ proletariatu ma własne interesy społeczne i polityczne, których sam związek zawodowy nie jest w stanie zrealizować, a liczenie działaczy robotniczych, związkowców, a nawet niektórych ich przywódców, na poparcie partii burżuazyjnych jest przejawem, jeżeli nie zdrady, to bezdennej głupoty politycznej. Problemy ekonomiczne załóg fabrycznych mogą być rozwiązane w sposób możliwie zadowalający, prawie zawsze w drodze walki politycznej w skali ogólnokrajowej, pod kierownictwem rewolucyjnej partii klasy robotniczej. Walka o poprawę warunków ekonomicznych i społecznych każdej załogi fabrycznej stanowi bazę materialną walki politycznej, jedności i solidarności całej klasy robotniczej. Walka klasy przeciwko klasie posiada zawsze charakter polityczny. Stąd niektórzy przywódcy związków zawodowych, odgradzając się od zajmowania przez związki zawodowe postawy politycznej, wydają o sobie jak najgorsze świadectwo. Problemy ekonomiczne i polityczne robotników stanowią nierozdzielalną całość. Rewolucyjna partia klasy robotniczej, koordynuje i kieruje walką klasową proletariatu przeciwko burżuazji, ponieważ jej celem jest ostateczne wyzwolenie robotników z niewoli pracy najemnej, w drodze przekształcenia społeczeństwa kapitalistycznego w komunistyczne, a osiągnięcie tego celu jest niemożliwe bez walki o przejęcie władzy politycznej w państwie przez klasę robotniczą.

Klasa robotnicza bez rewolucyjnej partii jest niczym, a związek zawodowy robotników bez proletariatu skazany jest a haniebne wleczenie się w ogonie burżuazji i reakcji, ulega złudzeniom i odrywając się od twardej rzeczywistości, szuka ratunku w niebiańskich „wartościach chrześcijańskich”. Tymczasem wyzysk robotników, bezrobocie, ubóstwo i nędza prawie połowy społeczeństwa wyrasta z królestwa ziemskiego, panowania kapitalizmu. Stan zastoju i beznadziei działaczy związkowych ma charakter haniebny i na dłuższą metę nie do utrzymania. Kierownictwo partii proletariatu, aby partia nie utraciła charakteru proletariackiego i samo nie zeszło na polityczne manowce oglupiającego pragmatyzmu, tzn. życia z dnia na dzień, bez żadnej perspektywy, musi kierować się wiedzą marksizmu, którego podstawą

jest walka klasowa, korzystając ze współpracy, wzajemnej pomocy, doświadczeń i dorobku ideowo-politycznego innych partii komunistycznych i robotniczych.

Zamieszczona tabela ilustruje pożądany wzrost rewolucyjnej partii klasy robotniczej zgodnie z marksistowskimi zasadami budownictwa partyjnego, celem utrzymania przez nią charakteru proletariackiego.

	PZPR (1980)	KPZR (1985)
Robotnicy (w PRL w gospod. uspoł.)	8,0 mln	82,0 mln
Członkami związku zawodowego robotników powinni być prawie wszyscy robotnicy, co najmniej 90%	7,2 mln	73,8 mln

Wariant I:

5% ogólnego stanu robotników należy do partii, co winno się równać 70% jej ogólnego stanu	400 tys.	4,1 mln
Nie robotnicy 30% ogólnego stanu partii	171 tys.	1,8 mln
Razem:	571 tys.	5,9 mln

Wariant II:

10% ogólnego stanu robotników należy do partii, co winno się równać 70% jej ogólnego stanu	800 tys.	8,2 mln
Nie robotnicy 30% ogólnego stanu partii	342 tys.	3,5 mln
Razem:	1.142 tys.	11,7 mln

Takie proporcje składu socjalnego partii winny być zawsze utrzymane, jeżeli kierownictwo czuwa, aby nie tylko jego polityka, lecz również większość gwarantowała proletariacki charakter partii. Niestety, do socjalnego składu partii, kierownictwo tak KPZR, jak i PZPR nie przywiązywało wagi. Dominował żywiolowy wzrost partii. Utrata przez partię, tak KPZR jak i PZPR, charakteru proletariackiego, pociągnęła za sobą degenerację także związków zawodowych robotników i w konsekwencji upadek socjalizmu w krajach tzw. „wspólnoty socjalistycznej”. Dla ilustracji tego zwyrodnienia parę przykładów o brutalnym zepchnięciu robotników, członków KPZR i PZPR, na boczny tor, do nic nie znaczącej mniejszości.

1. Partia bolszewików 1 października 1917 r. miała 240 tysięcy członków i kandydatów, a do 1921 r. podczas X Zjazdu wzrosła trzykrotnie, do 733 tys. Lenin uznał za konieczne „*niezwłoczne, stanowcze, bezpowrotne oddzielenie proletariackich, komunistycznych elementów ruchu od drobno-mieszczniśkich*”. Czystkę w partii uzasadniał: „*wszyscy rozsądni białogwardziści zupełnie wyraźnie budują swe nadzieje na tym, że rzekomo proletariacki charakter naszej partii w rzeczywistości nie zabezpiecza bynajmniej przed ewentualną przewagą - i to w najbliższym czasie - elementów drobno-mieszczniśkich*”.

Oceniając okres dwóch lat władzy radzieckiej, Lenin pisał:

„*Jedynie udział robotników w ogólnym rządzeniu państwem umożliwił nam stawienie czoła niewiarygodnym trudnościom toteż tylko wtedy odniesiemy całkowite zwycięstwo, gdy będziemy nadal kroczyć tą drogą*”.

Słowa Lenina potwierdza praktyka. Udział robotników w zarządzaniu państwem w grudniu 1920 r. wyniósł 61,6%, w tym:

na szczeblu fabryki	63,5%
Zarządy Główne	51,5%
Prezydium Rad Gospodarki Narodowej i Rad Gubernialnych	57,2%

Po śmierci Lenina i zaciągu leninowskim, partia w 1924 r. osiągnęła stan, jaki miała podczas X Zjazdu. Był to wzrost korzystny, ponieważ wstąpiło do niej 200 tysięcy robotników. Wraz ze wzrostem budownictwa socjalistycznego, rosła klasa robotnicza i szeregi partii. W 1939 r., podczas XVIII Zjazdu WKP(b) osiągnęła 2,5 mln członków i kandydatów. Wstrząs nastąpił po wojnie, lecz osłabienie proletariackiego charakteru partii rozpoczęło się w latach 1934-1939. Na zwołanym, po 13 latach, XIX Zjeździe KPZR w 1952 r. partia liczyła już prawie 7 mln członków i kandydatów, lecz w tym tylko 32% robotników, co oznaczało katastrofalną utratę przez nią charakteru proletariackiego. O usypianiu czujności rewolucyjnej świadczy zrezygnowanie wówczas także z przeprowadzania okresowych czystek w partii, co oznaczało

otwarcie bram do żywiolowego kształtowania się socjalnego składu partii i dalsze spychanie robotników w partii do nic nie znaczącej mniejszości. Po ważne obniżenie poziomu ideowego WKP(b) nastąpiło w wojnie przeciwko hitlerowskiej agresji, w której zginęło dwie trzecie starej gwardii bolszewików. Bezpośrednim ciosem rujnującym bazę dyktatury proletariatu stała się likwidacja instytucji Wszechzwiązkowych Zjazdów Rad Robotniczych, która wyrastała z systemu radzieckiego i stanowiła jego wierzchołek, zastępując ją parlamentem burżuazyjnym delegatów wybieranych już nie przez wielostopniowy system Rad, lecz w drodze powszechnego głosowania, raz na parę lat. Oznaczało to przejście od rewolucyjnego systemu radzieckiego do burżuazyjnego parlamentaryzmu pod szyldem zwiększenia demokracji. Różnica polega na tym, że delegatów na każdy Wszechzwiązkowy Zjazd Rad wybierały Obwodowe Rady Delegatów ze swego grona, natomiast kandydatów na delegatów - posłów ZSRR czy republik, wysuwały w praktyce wydziały, organizacyjny i kadr KC KPZR i partii poszczególnych Republik, raz na parę lat. Oznaczało to odsunięcie robotników od udziału we władzach ustawodawczych całego Związku Radzieckiego i poszczególnych Republik. Świadczą o tym wyniki wyborów w ostatnich latach, kiedy KPZR liczyła już „ponad 19 mln komunistów”.

Podczas wyborów delegatów do parlamentu w kwietniu 1989 roku wybrano 2250 osób, w tym członkowie KPZR stanowili 87,6%, a robotnicy tylko 18,6%.

Podczas wyborów delegatów do parlamentu Federacji Rosyjskiej w marcu 1990 r. wybrano 1068 delegatów, w tym członkowie KPZR stanowili 86,0%, a robotnicy tylko 5%.

Powyższe wyniki świadczą, że KPZR utraciła całkowicie charakter proletariacki. Wybrane parlamenty ZSRR i Rosji miały już oblicze burżuazyjne.

2. Polska Partia Robotnicza (PPR) w 1944 r. liczyła około 20 tys. członków, podczas I Zjazdu w grudniu 1945 r. było ich już 235 tys., a więc proporcjonalnie do ludności kraju, ponad sześć razy więcej niż partia bolszewików tuż przed wybuchem rewolucji socjalistycznej. Robotnicy w PPR stanowili wówczas zdecydowaną większość, ale w roku następnym zarysowała się już tendencja stałego zmniejszania się udziału robotników w partii i tym samym umacniania większości nieproletariackiej w całej PZPR oraz frakcji prawicowo-oportunistycznej bermanowszczyzny w jej władzach naczelnych i wojewódzkich, co oznaczało utratę przez PZPR charakteru proletariackiego i stało się główną przyczyną późniejszego upadku socjalizmu w PRL. Jest to fakt, którego nikt nie jest w stanie obalić.

Początkowy wielki, wprost spontaniczny, udział robotników w PRL ilustruje stan jej organizacji partyjnych w trzech głównych centrach proletariatu, w procentach:

W organizacji	1945	1946
Warszawskiej	83,0	81,0
Łódzkiej	88,0	79,0
Śląsko-Dąbrowskiej	78,0	75,0

Tak wielki udział robotników w PPR świadczy o ogromnym zaufaniu klasy robotniczej do nowej partii. PPR od początku była rewolucyjną partią klasy robotniczej, lecz rosła ona od początku w sposób żywiolowy i bez stażu kandydackiego. Ten spontaniczny wzrost ilościowy PPR, w tym coraz większy udział elementów nieproletariackich został nieco przyhamowany dopiero po narodzie w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 roku, po powołaniu do życia Kominformu, potępieniu rewizjonistycznej grupy Tito oraz rezygnacji Gomułki ze stanowiska Sekretarza Generalnego KC PPR, po odrzuceniu przez partię jego prawicowego i nacjonalistycznego stanowiska.

Okres Bieruta obejmował w zasadzie ostatnie dwa lata Trzyletniego Planu Odbudowy Kraju ze zniszczeń wojennych i cały okres Planu 6-letniego, którego tempo wzrostu gospodarczego i dochodu narodowego było najwyższe w całym okresie istnienia PZPR, jak i PRL.

W latach tzw. „odwilży”, po śmierci Stalina (1953-1958), szczególnie po czystce prawicowo-oportunistycznej przeprowadzonej przez bermanowszczyznę z Gomułką na czele w latach 1957-58, nastąpiło wielkie osłabienie PZPR. Nastąpił kontrewolucyjny przewrót wewnątrzpartyjny. Wyrzucono wówczas z PZPR ponad 47% ogólnego stanu z lat 1955-1956 oraz dokonano wielkich zmian na stanowiskach kierowniczych w partii i państwie. Przywrócono również prawa rehabilitowanym zdrajcom i wrogom klasy robotniczej, rewolucji socjalistycznej i budownictwa socjalistycznego. Podczas III. Zjazdu w 1959 r., ze względu na jej skład socjalny, robotnicy znaleźli się w

mniejszości. Partia, z nazwy „robotnicza”, utraciła ostatecznie i nieodwracalnie charakter proletariacki.

PZPR z 1 mln 50 tys. członków w 1956 r., po odsunięciu z niej w drodze czystki prawie połowy jej członków, wzrosła w 1970 r. do 2 mln 320 tys., lecz robotników było w niej tylko niecałe 40%. W 1980 r. partia osiągnęła stan 3 mln 320 tys. członków, w tym robotników było już tylko 38%. Udział pracowników umysłowych w latach 1956-57 w aparacie partyjnym i na konferencjach wojewódzkich wynosił 80%. Natomiast robotnicy w komitetach powiatowych, miejskich i dzielnicowych stanowili zaledwie 17%. Stan ten utrzymywał się w latach 70.

Udział zaś robotników pracujących w aparacie partyjnym zmniejszył się do około 8%. Na 460 posłów w IX i X kadencji robotnicy stanowili tylko 21%. W Wojewódzkich Radach Narodowych w 1980 r. było 27,4% robotników, a w 1984 r. zaledwie 13,6%. Natomiast w radach stopnia podstawowego robotników było odpowiednio: 15,8% i 11,8%. „Trybuna Ludu” z 24 II 1986 r. podaje, że w województwie stołecznym jest 450 tys. robotników, a członków PZPR tylko 27 tys. tj. 6%. Cała organizacja warszawska liczyła wówczas 137 tys.; lecz robotnicy stanowili w niej tylko 19,8%, a więc nieznaczną mniejszość. Kierownictwo partii i państwa znajdowało się niepodzielnie w rękach prawicowo-opportunisticznej bermanowszczyzny. Tak było w całym okresie Polski Ludowej. Robotnicy, jako klasa nie decydowali o niczym, ponieważ nie decydowali o losach własnej partii. W takiej sytuacji i pod takim kierownictwem socjalizm w PRL musiał upaść.

Któż byłby w stanie obalić socjalizm, gdyby w PRL, jak i w ZSRR klasa robotnicza była zorganizowana politycznie, zgodnie z zasadami marksi-

zmu? Nikt! Awangarda proletariatu zorganizowana w partii, nie musi być ilościowo wielka, wystarczy 5 do 10% ogólnego stanu klasy robotniczej kraju budującego socjalizm. Rewolucyjna polityka kierownictwa partii winna być wyrazem stanowiska robotników stanowiących co najmniej dwie trzecie, tj. około 70 do 80% ogólnego stanu partii. Kiedy robotnicy we własnej partii zostają zepchnięci, przez nierobotniczą większość, do roli nic nie znaczącej mniejszości, wówczas każdy rozłam w kierownictwie świadczy nie tylko o utracie przez partię charakteru proletariackiego, ale również oznacza wejście kierownictwa na drogę rozkładu partii, prowadzącą bezpośrednio do utraty władzy politycznej przez klasę robotniczą i upadku socjalizmu. Taka była główna przyczyna upadku socjalizmu w Polsce i pozostałych krajach tzw. „wspólnoty socjalistycznej”.

Tę prawdę polscy robotnicy muszą sobie uświadomić, przystępując niezwłocznie, z własnej inicjatywy, do zorganizowania się od początku we własnej i dla siebie, rewolucyjnej partii klasy robotniczej, nie zapominając, że obecnie nowymi właścicielami „wspólnej Polski” tzn. III RP, są wielcy szabrownicy i „wyszkolone śmiecie”.

Czy polski proletariat wielkoprzemysłowy okaże się mądrym po szkodzi, wykaże najbliższą przyszłość. Jeżeli jednak nadal, jak w okresie ostatnich 15 lat, będzie się włócił w ognie burżuazji, okryje się wieczną hańbą.

KAZIMIERZ MIJAL

Warszawa, grudzień 1995

WYBORCZA KLĘSKA OBOZU SOLIDARNOŚCIOWEGO

I KOŚCIOŁA - ZWYCIĘSTWO RZECZNIKÓW KAPITALIZMU

Wybory prezydenckie w Polsce w 1995 roku zakończyły się kolejną klęską obozu solidarnościowego. Była ona wynikiem świadomego zdystansowania się większości społeczeństwa wobec przemian po 1989 roku, które bezpośrednio lub pośrednio utożsamiano z działalnością obozu solidarnościowego.

Stało się tak niezależnie od tego, że rząd w kraju tworzy „lewicowa” koalicja SLD - PSL. Potwierdza to również fakt, że duża część społeczeństwa (prawie 34 proc. z ponad 28,1 mln uprawnionych do głosowania) nie wzięła udziału w wyborach lub oddała głosy nieważne, a wśród tych którzy włączyli się do wyborów w drugiej turze dominowali przeciwnicy przemian utożsamianych z obozem solidarnościowym oraz mniej lub bardziej wyrażanym mu poparciem przez Kościół katolicki i kapitał międzynarodowy.

Polityka ta wbrew nadziejom zrodzonym w 1980 roku i utrwalanym później wśród ludzi pracy, zapewniła warunki do urzeczywistnienia interesów prężnie rozwijającej się kapitalistycznej mniejszości społeczeństwa. Wyrazem tej polityki stała się prywatyzacja polskiej gospodarki oraz ograniczenia socjalnych zdobyczy ludzi pracy, przygotowywana reforma systemu ubezpieczeń społecznych, wprowadzana zwiększona odpłatność za oświatę i służbę zdrowia, zaostrome prawo pracy.

Jest bardzo charakterystyczne, że Jacek Kuron przedstawiany na łamach „Gazety Wyborczej”, największego dziennika w Polsce, jako „główny autor strategii, która przyczyniła się do upadku komunizmu”, człowiek, który „potrafi w imię dobra wspólnego przeciwstawić się swojemu naturalnemu elektoratowi i jego bezpośrednim interesom”, zwolennik „Paktu o przedsiębiorstwie”, a także określany jako „Prezydent biznesmenów”, dążący do ograniczenia sektora państwowego do 20 proc. oraz zwiększenia roli organizacji prywatnych przedsiębiorców i przedstawiany jako pierwszy z kandydatów na prezydenta, który podpisał „Porozumienie dla gospodarki”, zaproponowane przez trzy organizacje polskiego biznesu („Gazeta Wyborcza” z 27 października 1995 r.) uzyskal jedynie 9,22 proc. ważnie oddanych głosów, czyli 5,85% ogółu uprawnionych do głosowania.

KOLEJNE KLĘSKI

Pierwsza klęska obozu solidarnościowego nastąpiła już w czasie pierwszych wyborów prezydenckich, kiedy to nieoczekiwanie przegrał Tadeusz Mazowiecki, a tylko drogą zastraszenia społeczeństwa w walce ze Stanisławem Tymińskim zwyciężył Lech Wałęsa. Kolejną klęskę poniósł obóz solidarnościowy w wyborach parlamentarnych we wrześniu 1993 roku. Wówczas klęskę starano się wytłumaczyć rozbić politycznym obozem solidarnościowego i wystawieniem wielu list wyborczych. W obecnych wyborach prezydenckich w listopadzie 1995 r. obóz solidarnościowy poniósł klęskę w osobie L. Wałęsy, pomimo iż doszło ostatecznie do dychotomicznego podziału: „postkomuna - postsolidarność” i mobilizacji całego obozu solidarnościowego wokół Wałęsy w drugiej turze wyborów.

Nie powiodła się próba odroczenia wyborów prezydenckich przez inicjatywę Stanisława Ciołka, ambasadora Rzeczypospolitej w Moskwie, ale prawica wykorzystwała ją do rozpętania kolejnych wpływów w społeczeństwie i nieograniczonej możliwości indoktrynacji społeczeństwa z racji monopolu w środkach masowego przekazu, z drugiej zaś strony - zdawano sobie sprawę z głębokich frustracji społecznych, widziano potrzebę i możliwość ich rozładowania w wyniku wyborów oraz obciążenia odpowiedzialnością za nie rządzącej koalicji SLD-PSL, aby tą drogą pokonać kandydata SLD Aleksandra Kwasniewskiego.

POLITYCZNY ASPEKT WOLNOŚCI WYBORÓW

Obozowi solidarnościowemu zależało na maksymalnej mobilizacji swoich zwolenników i zwiększeniu frekwencji wyborczej. Z jednej strony - wynikało to z przekonania o dominujących wpływach w społeczeństwie i nieograniczonej możliwości indoktrynacji społeczeństwa z racji monopolu w środkach masowego przekazu, z drugiej zaś strony - zdawano sobie sprawę z głębokich frustracji społecznych, widziano potrzebę i możliwość ich rozładowania w wyniku wyborów oraz obciążenia odpowiedzialnością za nie rządzącej koalicji SLD-PSL, aby tą drogą pokonać kandydata SLD Aleksandra Kwasniewskiego.

Temu generalnemu celowi służyło, obiektywnie rzecz biorąc, wystawienie przez wiele ugrupowań postsolidarnościowych swoich własnych kandydatów. Chciano stworzyć sieć, żeby nie powiedzieć pajęczynę, w którą miało wpasć jak najwięcej wyborców. Uwzględniano przy tym doświadczenia pierwszych wyborów prezydenckich w 1990 roku, kiedy to kandydat niezależny Stanisław Tymiński w sposób realny zagroził całemu obozowi solidarnościowemu i musiano się uciec do kłamstwa, pomówień, bojków solidarnościowych oraz pomocy służb specjalnych, aby go pokonać. Dlatego w obecnych wyborach wystawiono kilku kandydatów „niezależnych”, aby niezadowolone społecznie nie mogło się ewentualnie wyrazić w poparciu jednego konkretnego kandydata. Najlepiej o tych wszystkich manipulacjach świadczy fakt, że Stanisławowi Tymińskiemu ponownie nie udało się zebrać wymaganej do rejestracji ilości podpisów, a trzech inni kandydaci na prezydenta nie uzyskali nawet 100 tysięcy głosów, chociaż co najmniej tyle podpisów musieli zdobyć, aby zarejestrować się w Państwowej Komisji Wyborczej. Leszek Bubel zdobył 6825 głosów w skali całego kraju, chociaż podpisy wyborcze pod zgłoszeniem pochodziły z jednego regionu; Kazimierz Piotrowicz zdobył 12591 głosów, a Tadeusz Koźluk 27259 głosów.

Właściwie tylko trzech znanych kandydatów można było uważać za w jakimś stopniu przeciwnych obozowi solidarnościowemu, tj. Aleksandra Kwaśniewskiego, Tadeusza Zielińskiego i Waldemara Pawłaka, chociaż oni również stali na gruncie utrwalania i rozwoju kapitalizmu.

Wystawienie wielu kandydatów przez obóz solidarnościowy w pierwszej turze dawało mu znaczną ilość czasu antenowego, wykorzystanego do kapitalistycznej i antykomunistycznej indoktrynacji wyborców oraz bezpośredniego i pośredniego atakowania Kwaśniewskiego. Swoją rolę w tym względzie odegrali także Leszek Moczulski, Lech Kaczyński, a nawet uchodzący za „apolitycznego” Adam Strzembosz, po czym wycofali się z kandydowania, nie zyskując poparcia społecznego, nadając jednak temu działaniu pozory wspaniałomyślności i troski o losy państwa, a w istocie wspierając Jana Olszewskiego, który dzięki temu zdobył ostatecznie ponad 1,2 mln głosów (4,35% uprawnionych).

Po pierwszej turze wyborów wydawało się, że zamiar ten udał się, bo kandydaci wyraźnie związani z obozem solidarnościowym, tj. Lech Wałęsa, Jan Olszewski, Jacek Kuron, Hanna Gronkiewicz-Waltz i protegowany na kabareciarza RP Jan Pietrzak zdobyli łącznie 9.483.388 głosów (tj. 53,06% ważnie oddanych głosów, choć było to 33,7% uprawnionych do głosowania). Natomiast A. Kwaśniewski zdobył 6.275.670 głosów, tj. 35,11 proc. głosów ważnych i tylko 22,3% uprawnionych do głosowania, a razem z W. Pawlakiem, o którym przeciętny odbiorca mógł domniemywać, że jest w tym samym obozie politycznym zdobyli 39,32% ważnie oddanych głosów, czyli 25,4% uprawnionych do głosowania.

Obozowi postsolidarnościowemu wydawało się, że ta przewaga z pierwszej tury wystarczy Wałęsie do zwycięstwa w drugiej turze nawet przy względnie korzystnych przesunięciach elektoratu na rzecz Kwaśniewskiego od Pawłaka i Zielińskiego.

PRZESUNIĘCIA PREFERENCJI WYBORCZYCH

Stało się jednak inaczej. Wystąpiły nie tylko spodziewane przesunięcia elektoratu Pawłaka i Zielińskiego, ale także istotne przesunięcia elektoratu obozu postsolidarnościowego do Kwaśniewskiego w drugiej turze wyborów. Według wstępnych danych do Kwaśniewskiego przeszło 40 proc. wyborców w pierwszej turze głosujących na Jacka Kuronia. Od Jana Olszewskiego i Korwina-Mikke przeszło po około 25 proc. Od Waldemara Pawłaka i Tadeusza Zielińskiego po 2/3. Nawet Wałęsę opuściło 3,3% elektoratu z pierwszej tury. Kwaśniewski zyskał także większość wyborców Andrzeja Leppera i Jana Pietrzaka, choć nie miały one większego znaczenia. Kwaśniewski stracił zaś około 1,7% swoich zwolenników (tj. około 106 tysięcy). Natomiast spośród tych, którzy w pierwszej turze nie wzięli udziału, w drugiej turze w 60 proc. oddali swe głosy na Kwaśniewskiego („Gazeta Wyborcza” z 21 listopada 1995 r.). W wyniku tych procesów Aleksander Kwaśniewski zwiększył swoją przewagę nad Wałęsą.

W pierwszej turze na Wałęsę głosowało 5.919.328 osób. Kwaśniewski miał nad nim przewagę 358 tys. głosów. W drugiej turze różnica ta według oficjalnych danych zwiększyła się do ponad 646 tysięcy i zdecydowała o zwycięstwie Kwaśniewskiego.

Z przesunięć preferencji wyborczych przed drugą turą wyborów można wyciągnąć trzy dodatkowe wnioski: po pierwsze - duża część wyborców w

pierwszej turze, głosująca zwłaszcza na innych kandydatów, głosowała na nich w dużym stopniu w wyniku zastraszenia „kwaśniewszczyzną” przez Wałęsę i podległe mu środki masowego przekazu oraz Kościół katolicki, głosowała zatem na nich głównie w imię spokoju społecznego, a w mniejszym stopniu w imię jawnej antykomunistycznej krucjaty (Olszewski 1,2 mln głosów). Dlatego w drugiej turze nastąpił tak istotny odpych elektoratu solidarnościowego do Kwaśniewskiego - Wałęsa był dla nich nie do przyjęcia, nawet jeśli wielu w tym samym czasie, co on, spało na styropianie; po drugie - w tym kontekście staje się jasne, że zwłaszcza taka partia jak Unia Wolności cieszy się znacznie mniejszym poparciem społecznym niż wynika to z ilości głosów zdobytych przez Jacka Kuronia. Elektorat jego okazał się najbardziej płynnym, a jednocześnie najbardziej skłonny do porozumienia się z SLD, nawet ponad głowami przywódców Unii Wolności; po trzecie - faktyczne wpływy SLD są znacznie większe niż wynika to z oficjalnej statystyki wyborczej. Wszyscy socjologowie zgodnie podkreślali, że wyniki badań ankietowych są niższe od rzeczywistych preferencji wyborczych dla A. Kwaśniewskiego.

PRZYCZYNY OSTATNIEGO WZGLĘDNEGO SUKCESU WAŁĘSY

Końcowe wyniki wyborów prezydenckich można niewątpliwie uznać za względny sukces Wałęsy, gdyż od deklarowanego w sondażach dla niego 8 proc. wiosną 1995 r. wzrosło ono do ponad 48 proc. zdobytych głosów. Przyczyn tego „sukcesu” nie należy szukać w żadnych nagłych zmianach sytuacji ekonomicznej, w poprawie międzynarodowego położenia Polski czy innych tego typu faktach obiektywnych, na które miałyby znaczący wpływ Wałęsa. Przyczyn tego „sukcesu” należy szukać raczej w czynniku natury subiektywnej i politycznej.

Po pierwszej - przywódcy SdRP (SLD) zainteresowani byli w przejściu Wałęsę do drugiej tury wyborów, gdyż sondaże przedwyborcze jednoznacznie wskazywały, że gdyby w drugiej turze do szło do konfrontacji Kwaśniewski - Wałęsa, zwyciężyłby Kwaśniewski („Gazeta Wyborcza” z 20 września 1995 r.). Początkowo przywódcy SdRP najbardziej obawiali się konfrontacji Kwaśniewskiego z Gronkiewicz-Waltz, ale później wycofanie się hierarchii kościelnej z poparcia dla niej ułatwiło SLD zadanie.

Po drugiej - po stronie Wałęsy, szczególnie wyraźnie przed drugą turą wyborów, były środki masowego przekazu (poza „Nie” i „Trybuną”), a szczególnie telewizja. Dlatego w „Gazecie Wyborczej” z 27 października zauważono, że „...to o Wałęsie mówi się najwięcej w programach informacyjnych. Utrwała to nowy jego wizerunek”.

Po trzeciej - faktyczny czas antenowy poszczególnych kandydatów w kampanii wyborczej nie ograniczał się do audycji wyborczych, gdyż antykomunistyczne, anty-SLD-owskie i anty-PRL-owskie treści zawarte były w innych, szczególnie historycznych i publicystycznych audycjach i programach, emitowanych także przed oficjalnym rozpoczęciem, a szczególnie po oficjalnym zakończeniu kampanii wyborczej, kiedy to powinna obowiązywać tzw. cisza wyborcza. Wałęsa w tych wszystkich programach był chociaż przez chwilę widoczny, lub osobą o której się mówiło.

Po czwartej - Wałęsa wraz ze swoim otoczeniem i za jego pośrednictwem manipulował opinią publiczną i rozbił obóz prawicy. Jeszcze ponad rok temu kokietał opinię publiczną swoim zmęczeniem i niechęcią do kandydowania na urząd prezydenta, udając jednak niezdeterminowanie stracił w sondażach opinii publicznej, co pogłębiło podziały na prawicy i ożywiło ambicje prezydenckie wielu polityków. Nawet Kościół dał się wciągnąć w tę grę i udzielił wstępnego poparcia dla nic sobą nie reprezentującej Hanny Gronkiewicz-Waltz. Gdy środowisko prawicowe było dostatecznie wzburzone Wałęsa zgłosił swoją kandydaturę i nie uległ naciskowi części środowiska prawicowego, które domagały się jego dobrowolnej rezygnacji z kandydowania w wyborach prezydenckich. Co więcej, aby środowiska te postawić wobec faktów dokonanych, a jednocześnie zmanifestować swoją skuteczność oficjalnie zarejestrował się pierwszy w Państwowej Komisji Wyborczej. Jednocześnie wobec środowisk sobie niechętnych, które mogły stanowić większość jego potencjalnych wyborców, zaczął odgrywać rolę liberała, odsunął od siebie dwa swoje nieodłączne cienie: dobrego księdza Cybulę i złego - Mieczysława Wachowskiego. Tak więc jeśli Wałęsa dość długo ukrywał przed opinią publiczną swój udział w nadchodzących wyborach prezydenckich, to zapewne dlatego, aby nie ułatwić mobilizacji swoich przeciwników.

Po piąte - w środkach masowego przekazu starano się zmienić wizerunek Wałęsy z człowieka walki na człowieka kompromisu (negując przy okazji jego obietnice z poprzednich wyborów), licząc ponownie na koniunkturalne wykorzystanie nastrojów społecznych. Dlatego „Gazeta Wyborcza”, kiedy to jeszcze popierała Jacka Kuronia pisała o Wałęsie: „Jeszcze niedawno byłego premiera Jana Olszewskiego nazywał *«malpą z brzytwą»*. Pięć lat temu w wywiadzie dla hiszpańskiego dziennika El Pais: *«A co mówią o Mazowieckim? Że jest największym demokratą. Przecież trzeba być skończonym durniem»*. Na wiecu wyborczym w październiku 1990 r.: *«On (Mazowiecki - Red.) nawet muchy nie złapie. A tu trzeba łapać złodziei. Mazowiecki był zawsze kiepskim politykiem. I jest nim dziś»*. Ale już w październiku tego roku w wywiadzie dla naszej Gazety: *«Nikt nie zrobił tyle co Mazowiecki»*. Parę tygodni temu o premierze Józefie Oleksym: *«Łże jak pies»*. A w zeszły piątek: *«Po rozmowie z Oleksym patrzę na niego mniej nienawistnym okiem»*. („Gazeta Wyborcza nr 251 z 27 października 1995 roku).

Po szóste - rząd koalicyjny SLD-PSL podjął kilka działań, które z pewnej krótkiej perspektywy mogły niewtajemniczonym w kulisy polityki sympatykom rządzącej koalicji wydawać się „błędem”. Najbardziej spektakularnym dziełem rządu było ograniczenie stopnia rewaloryzacji rent i emerytur w 1996 roku do około 2 proc. realnego wzrostu, zamiast wzrostu przekraczającego przeciętny wzrost płac w gospodarce narodowej, znacznie korzystniejszego dla emerytów i rencistów i pozwalającego przynajmniej częściowo zniwelować narosłe przez poprzednie lata niekorzystne proporcje pomiędzy płacami a rentami i emeryturami. Wałęsa dzięki swoim doradcom wykorzystał ten „błąd” bezwzględnie i zakwestionował zgodność tej niekorzystnej dla emerytów i rencistów ustawy z konstytucją. Chociaż wiadomym było, że argument tego rodzaju nie zapewni korzyści emerytom i rencistom, to jednak pozwolił Wałęsie zdobyć przewagę nad Kwaśniewskim w tym środowisku, bardzo istotnym z punktu widzenia ostatecznych wyników wyborów z uwagi na znaczną liczebność, aktywność wyborczą oraz znaczną podatność na wezwania Kościoła katolickiego. Takich przykładów można próbować znaleźć więcej. Jak na ironię tego typu działania przedstawiane były przez wicepremiera i ministra finansów Grzegorza Kołodkę jako wyraz bezstronności i apolityczności rządu w wyborach.

Po siódme - wobec niepowodzenia Kościoła katolickiego z Gronkiewicz-Waltz oraz przegrania innych kandydatów prawicowych w pierwszej turze wyborów prezydenckich, środowiska postsolidarnościowe zmuszone były wezwać do głosowania na Wałęsę, jako na „mniejsze zło” i przy okazji musiały wyolbrzymić jego rolę w życiu społeczno-politycznym i w kapitalistycznej transformacji ustrojowej.

Po ósme - Wałęsa miał do dyspozycji w wyborach swój aparat urzędniczy i służby specjalne oraz znaczną część kadry wojskowej, choć negowano to przed wyborami.

Po dziewiąte - wbrew prawu już w okresie tzw. ciszy wyborczej przed drugą turą wyborów opublikowano w kilku gazetach wyniki sondaży o przewadze Kwaśniewskiego, aby w ten pośredni sposób dodatkowo zmobilizować elektorat Wałęsy. Również w wielu kościołach wezwano do modlitw za pomyślny wybór Wałęsy.

W świetle powyższych uwag można postawić tezę, że gdyby Kwaśniewski dysponował wszystkimi tymi możliwościami oddziaływania, to uzyskałby znacznie korzystniejszy wynik niż Wałęsa obecnie. Gdyby zaś Wałęsa startował z tych pozycji, co Kwaśniewski, przegrałby z kretelem już w pierwszej turze wyborów.

KTO I DLACZEGO POPIERAŁ WAŁĘSĘ

Kampanię wyborczą Wałęsy prowadzono pod kilkoma głównymi hasłami. Ponieważ różnice co do celów programowych pomiędzy Wałęsą i Kwaśniewskim były minimalne i nieistotne z punktu widzenia pracującej większości społeczeństwa, elektorat Wałęsy mobilizowany był głównie pod hasłami antykomunizmu, kontynuacji i przyspieszenia reform (czyli utrwalania kapitalizmu), walki z „czerwoną pajęczyną”, walki z zagrożeniem z jej strony dla demokracji i wolności obywatelskich oraz materialnego bytu narodu, poparcia Zachodu dla jego osoby i przyjęcia Polski pod jego kierownictwem do struktur europejskich oraz NATO. Wałęsa wykorzystywał również swoje związki z Kościołem katolickim i papieżem. W kampanii zorganizowanej przez sztab Wałęsy od samego początku zastrascono opinię publiczną tym, że wybór Kwaśniewskiego doprowadzi do zaburzeń społecznych i destabilizacji państwa. czego próbkę dawał niejednokrotnie w czasie swojej przy-

dentury, kończąc ją w ostatnich tygodniach mocnym akcentem, oskarżając premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji, już po wyborze Kwaśniewskiego. Na końcowy wynik wyborów wpływ wywarły również debaty telewizyjne pomiędzy obydwojema pretendentami do prezydenckiego fotela po zakończeniu pierwszej tury wyborów. W pierwszej rundzie telewizyjnej debaty Wałęsa wystąpił w sposób wojowniczy i sam sobie już po jej zakończeniu zdał sprawę z tego, że wyraźnie ją przegrał wśród ludzi inteligentnych, bardziej samodzielnych w wyrażaniu swoich poglądów, ale zapewne swą wojowniczością mobilizował najbardziej zacofane i antykomunistyczne środowiska społeczne oraz próbował pozyskać elektorat Jana Olszewskiego, a ponadto zastraszyć elektorat Kwaśniewskiego. I taki był główny cel jego taktyki w pierwszej debacie telewizyjnej. Bardzo znamienne, że Wałęsa wojowniczy ton przybrał wbrew temu, co sam pisał (lub jemu napisano) w ramach wniosków z pierwszej tury wyborów. Firmował wówczas swym nazwiskiem następującą wypowiedź: *«Drugim przegranym jest agresywny tryb prowadzenia kampanii wyborczej. Ci, którzy próbowali walczyć o prezydenturę pomówieniami, rzucaniem obelg i błota, odeszli. Skreślili ich decyzje wyborców. Społeczeństwo nasze szybko dojrzewa w szkole demokracji. Wie, że krzyk i wygrażanie bliźnim, to marna kwalifikacja na męża stanu. Jest świadome, że kłamstwo w kampanii wyborczej znaczy tyle, co nieuczciwość w sprawowaniu urzędu»* („Polityka” nr 45 z 11 listopada 1995 r.).

Przebieganie pierwszej debaty telewizyjnej zmusiło Wałęsę do zmiany taktyki w drugiej debacie, w której starał się występować w sposób mniej wojowniczy i napastliwy, aby tym razem odrobić dystans i pozyskać środowiska bardziej umiarkowane w swoich poglądach ideologicznych i politycznych, odczytując znaczne fragmenty przygotowanych przez jego otoczenie tekstów. Ale mimo to nie obyło się bez „mocnych” antybolszewickich akcentów końcowych.

W wyniku istniejącej sytuacji oraz tak prowadzonej kampanii Wałęsie udzieliło poparcia 59,3 proc. przedsiębiorców, co jest najlepszą wizytówką dla jego programu. Przedsiębiorcy należeli do tej grupy społecznej, która w sposób najbardziej zdecydowany poparła Wałęsę. Przeciwko Wałęsie głosowała zapewne większość burżuazji (przedsiębiorców) o PRL-owskim i PZPR-owskim rodowodzie, ale także znaczna część burżuazji i jej klienteli wyrastającej ze „styropianu”, która w nieodpowiedzialnych i okresowo destabilizujących działaniach Wałęsy widziała zagrożenie dla swoich bieżących i perspektywicznych interesów, dla których Wałęsa odegrał już swoją rolę i powinien odejść, aby nie ożywiać nadziei środowisk robotniczych.

Pewne zaskoczenie wśród części obserwatorów życia politycznego wywołało zwycięstwo Wałęsy w miastach liczących ponad 200 tysięcy mieszkańców, które stanowią ważne centra administracyjne i naukowe, a także ośrodki, gdzie kapitalistyczna transformacja przebiega najszybciej. Charakterystycznym stało się zwycięstwo Wałęsy wśród osób z wyższym wykształceniem, które zastraszone w trakcie kampanii wyborczej bardzo szybko zmieniły własne zdanie i „wybaczyły” Wałęsie jego liczne lapsusy, wojnę na gorze oraz liczne przejawy antykomunistycznego chamstwa i buty. Niewątpliwie Wałęsę musiała poprzeć większość kierowniczych kadr administracji państwowej, wśród której po 1989 r. przeprowadzono czystki, czym zastraszone także pozostała część, a następnie związane osobistymi interesami z kapitalistyczną transformacją.

Wałęsę poparła hierarchia kościelna oraz większość wyższych dowódców wojskowych i policji, prokuratorów i sędziów. Siłą zatem rzeczy musiał Wałęsa wygrać w Warszawie, gdzie dolicza się głosy polskich placówek zagranicznych i Polonii oraz w Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Gdańsku (kolebce „Solidarności” i miejscu częstych wizyt) i Białymstoku (gdzie rządził miastem siły klerkalno-nacjonalistyczne).

Bardzo znamienym stało się również, że Wałęsa odniósł przewagę również wśród gospodyń domowych, zdobywając wśród nich około 55 proc. głosów.

Wałęsa wygrał wybory prezydenckie ze Stanisławem Tymińskim, zdobywając 39 proc. głosów uprawnionych do głosowania, przegrał zaś z Kwaśniewskim, zdobywając jedynie 32 proc. głosów uprawnionych do głosowania.

Większość społeczeństwa zrozumiała, że Wałęsa nie nadaje się do funkcji prezydenta. Nie był w stanie stworzyć żadnej strategicznej wizji programowej. Przez długi okres czasu odgrywał rolę marionetki - a gdy sam to zrozumiał zaczął manipulować ludźmi i poszczególnymi środowiskami, w wyniku czego utracił tych, którym zawdzięczał władzę, a także w dużym stopniu skompromitował

instytucję prezydenta, zaczęła interesować go władza jako taka, uwierzył w swoje nadzwyczajne predyspozycje.

PRZYCZYNY I SENS ZWYCIĘSTWA WAŁĘSY W WOJEWÓDZTWIE KATOWICKIM

W drugiej turze wyborów prezydenckich w 1995 r. Wałęsa zdobył w województwie katowickim prawie 944 tysiące głosów, a Kwaśniewski ponad 918 tysięcy. Wałęsa odniósł więc w drugiej turze zwycięstwo nad Kwaśniewskim, zdobywając prawie o 26 tysięcy głosów więcej. W pierwszej turze przewaga Wałęsy wynosiła jedynie 6 tysięcy. Jest to więc zwycięstwo stanowiące pewien symptom erozji wpływów i zapowiedź ewentualnej klęski, gdyż w wyborach prezydenckich w 1990 roku w drugiej turze Wałęsa zdobył 72,3 proc. głosów biorących udział w wyborach, a w obecnych wyborach zdobył jedynie 50,69 proc. głosów biorących udział w wyborach.

Dlaczego Wałęsie w obecnych wyborach udało się jeszcze z nieznaną przewagą odnieść zwycięstwo?

Otóż Wałęsa w przeciwieństwie do swego kontrkandydata prowadził kampanię na terenie niektórych zakładów pracy, co miało zapewne również pewien wpływ na niektóre środowiska robotnicze województwa katowickiego. Ponadto, od dłuższego czasu w środkach masowego przekazu tropiono na terenie województwa katowickiego „małą węglową”, wywodzącą się z dawnej „komuny”, i „czerwonej nomenklatury” - Wałęsa zaś w swych hasłach namiętnie zapowiadał zwalczenie tej „czerwonej pajęczyny”. W województwie katowickim istnieje jeszcze wiele zakładów państwowych, w których „Solidarność” zachowuje swoje wpływy. Nie przypadkiem do akcji antyrządowych udało się „Solidarności” wciągnąć górników (słynna akcja z trzonkami od kilofów i śrubami przed gmachem Urzędu Rady Ministrów w maju 1995 roku), a także kolejarzy, którzy tuż przed wyborami zorganizowali strajk paraliżu jacy transport kolejowy w województwie.

Jeśli zaś uwzględnić geografie wpływów na terenie województwa katowickiego, to okazuje się, że Wałęsa zdecydowanie przegrał na terenie Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie Kwaśniewski wypadł znacznie lepiej niż w całym kraju. Kwaśniewski wygrał na terenie 32 miast i gmin województwa katowickiego, natomiast Wałęsa na terenie 64 miast i gmin. W Dąbrowie Górniczej, gdzie znajduje się siedziba ZKP „Proletariat” Kwaśniewski zdobył 73,6 proc. głosów, w Czeladzi 72,7 proc., w Sosnowcu 70,9 proc., w Będzinie 72,63 proc., w Bolesławiu 81,45 proc., w Jaworznie 59,59 proc., w Knurowie 52,68 proc. Natomiast Wałęsa wygrał w wielkich miastach Śląska: Katowice 57,06 proc., Gliwice 53,32 proc., Bytom 53,55 proc., Ruda Śląska 59,02 proc. Wałęsa odniósł zdecydowane zwycięstwo w południowej części województwa (włącznie z Tychami, w których zdobył 55,59 proc.), poza Brzeszczami, Żorami i Zebrzydowicami oraz na terenach mniej zaludnionych.

Cały tragizm zwycięstwa Wałęsy w województwie katowickim, tragizm z punktu widzenia interesów pracującej większości społeczeństwa, polega na tym, że masy pracujące głosowały w swoim mniemaniu osobistym przeciwko postkomunie, czyli - uprzywilejowanej w czasach PRL-u warstwie zarządzającej, która po 1989 roku dokonała samouwłaszczenia się i w znacznym stopniu rograbienia majątku narodowego, będącego owocem pracy całego społeczeństwa i przekształciła się w burżuazję. Ludzie pracy, głosując na Wałęsę, głosowali więc przeciwko jednej z warstw burżuazji, którą często wyróżnia spośród burżuazji w ogóle - jedynie jej PZPR-owski i PRL-owski rodowód i to, co się często określa jako wyższa kultura polityczna. Zwycięstwo Wałęsy i zrealizowanie jego dekomunizacyjnych hasel, nawet gdyby to chciał urzeczywistnić, oznaczałoby jedynie odsunięcie tego odłamu burżuazji i zastąpienie go innym o solidarnościowym rodowodzie, ale w niczym nie zmieniającym istoty wyzysku mas pracujących przez burżuazję i jej liczną klientelę. Natomiast głosując przeciwko Wałęsie na Kwaśniewskiego, pracująca większość społeczeństwa kierowała się tymi samymi swoimi klasowymi interesami, a zatem nie tyle przeciwko negatywnym skutkom kapitalistycznej transformacji ustrojowej, co głównie przeciwko wszelkiemu wyzyskowi społecznemu, kierując się dużej mierze PRL-owskimi sentymentami, kiedy to stopień zabezpieczenia potrzeb socjalno-ekonomicznych większości mas pracujących był lepszy, a Kwaśniewski wydawał się dla nich jedynie mniejszym złem.

Tymczasem żaden z tych kandydatów nie gwarantował i nie gwarantuje zlikwidowania burżuazji. Specyfika sytuacji polega na tym, że Kwaśniewski w

większym stopniu gwarantuje nienaruszalność i dominację interesów uwłaszczonej warstwy zarządzającej o PRL-owskim rodowodzie. Wałęsa zaś nienaruszalność i dominację interesów postsolidarnościowej elity. Ale zarówno jeden, jak i drugi kandydat nie byli i nie są zainteresowani, z uwagi na strategiczny cel, jakim jest budowa i umacnianie kapitalizmu w Polsce, w całkowitej eliminacji swoich rywali.

Powstanie alternatywy Kwaśniewski - Wałęsa, z punktu widzenia perspektywicznych interesów ludzi pracy nie ma więc zasadniczego znaczenia. Można nawet powiedzieć, że masy pracujące, głosując zarówno na jednego, jak i na drugiego kandydata głosowały przeciwko swoim perspektywicznym i bieżącym interesom, chociaż intencje miały zupełnie inne. Nie oznacza to jednak, że udział w wyborach był błędem. Siły reakcji, bez względu na to, co same głośzą oficjalnie, wyniki wyborów odebrały jako swoją wielką klęskę i musiały uciec się do szpiegowskiej prowokacji, aby zdyskredytować ich wyniki.

KONSEKWENCJE ZWYCIĘSTWA KWAŚNIEWSKIEGO I PRZEGRANEJ WAŁĘSY

Najważniejsze polityczne konsekwencje wyników wyborów zdają się polegać na tym, że:

Po pierwsze - siłom prokapitalistycznym udało się doprowadzić do politycznego rozbicia wśród podstawowych klas, warstw, grup i środowisk społecznych, co stanowi jakościowo nową sytuację polityczną. Elektoraty obu kandydatów dzielą się prawie po połowie i w większości różnice mieszczą się w granicach tzw. błędów statystycznego. Dlatego wielu publicystów było zgodnych, że kampania wyborcza wbrew apelowi Jacka Kuronia nie przybrała charakteru programowego, lecz dotyczyła kwestii druzgoczących, często sentymentów i resentymentów. Kampania prowadzona była w „amerykańskim stylu”, a to oznacza, że nie trzeba spełniać wyborczych obietnic.

Po drugie - rząd koalicji SLD - PSL zrobił wszystko, aby Wałęsa nie odniósł zbyt miążdzącej klęski, jak i aby Kwaśniewski nie odniósł zbyt spektakularnego zwycięstwa, co zapowiadały mu sondaże z wiosny 1995 roku. Sam Kwaśniewski wydaje się, że również zrobił wiele, motając i kręcąc w sprawie zakupu akcji „Polisy” przez swoją małżonkę, jak i własnego wykształcenia. Wbrew zdrowemu rozsądkowi nie rozstrzygnął sprawy wykształcenia ostatecznie poprzez przyznanie się do tego, iż nie ukończył studiów wyższych, bądź przez okazanie się dyplomem ukończenia studiów, co wydawało się najprostszym rozwiązaniem.

Po trzecie - w czasie kampanii wyborczej Kwaśniewski rozbudził nadzieje wielu gorzej sytuowanych warstw społecznych, ale porzucił je na początku swojej prezydentury, kiedy to nie wycofał z Trybunału Konstytucyjnego ustawy wprowadzającej 6-stopniową skalę podatkową, powszechnie krytykowaną przez kapitał (przedsiębiorców) i jego partie polityczne za ulgi dla ludności o niższych dochodach i zawetowanej przez Wałęsę. Kwaśniewski chociaż formalnie należał do SdRP (SLD), niejednokrotnie wpływał na zmiany wcześniej uzgodnionego stanowiska klubu, czym pośrednio dowodził swoich nieoficjalnych powiązań z innymi środowiskami politycznymi. Porzucenie więc dotychczasowego elektoratu nie wywoła u niego żadnych skrupułów moralnych, już zresztą w jego najbliższym otoczeniu zaczęli się pojawiać ludzie, którzy formalnie należeli do przeciwnego obozu politycznego.

Po czwarte - prezydentura Kwaśniewskiego, co do celów strategicznych, będzie kontynuacją prezydentury Wałęsy, podobnie jak rząd SLD - PSL kontynuuje politykę rządów solidarnościowych. Istota ta została obnażona przed milionami widzów podczas wieczoru wyborczego po pierwszej turze wyborów prezydenckich, kiedy to doszło do publicznej dyskusji między ministrem Kaczmarem a byłym wicepremierem Leszkiem Balcerowiczem, w której to jednoznacznie stwierdzono, że program ekonomiczny, w tym program prywatyzacji, jest wynikiem wcześniejszych wspólnych ustaleń oraz że rząd SLD-PSL poprawił jedynie błędy, jakie popełniły rządy solidarnościowe, nie zmieniając celów strategicznych. Nie przypadkiem Kwaśniewski uznał za wskazane publicznie przyznać, że nigdy nie był komunistą, z czego można mniemać, że był zwykłym karierowiczem w czasach „komuny”. Nigdy nie obiecał, że będzie generalnie przeciwko ratyfikacji konkordatu z Watykanem, zadeklarował kontynuację kapitalistycznej transformacji i konieczność przystąpienia Polski do struktur europejskich, szczególnie zaś kontynuację starań o przyjęcie do NATO, wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dlatego właśnie Kwaśniewski w swym pierwszym orędziu uznał za wskazane

podkreślić, iż objęcie przez niego prezydentury nie oznacza żadnej rewolucji ani radykalnych zmian.

Kwaśniewski komentując specjalnie dla „Polityki” wyniki pierwszej tury wyborów uzasadniał odejście od wszelkich, szczególnie lewicowych, nadziei na zmiany w sposób następujący: „Nie ma w Polsce potrzeby rewolucji, radykalnych zwrotów, te wybory to pokazały, i myślę, że w tym punkcie zgadzamy się z Lechem Wałęsą. Pojawiła się bowiem teza, że Polska potrzebuje zmian. Mogę zapytać, jakich zmian? Jeżeli do drugiej tury przechodzi kandydat, który jest związany z obecną koalicją rządzącą, a jego kontrkandydatem jest urzędujący prezydent, to jakich mianowicie zmian chce społeczeństwo? Wiem, że to brzmi nieco przewrotnie, ale zauważmy, że kandydat, który głównym mottem swojej kampanii uczynił hasło - zmiany są konieczne - Jacek Kuroń, zdobył niespełna 10 procent. To moim zdaniem jest kolejnym dowodem dojrzałości społeczeństwa i pokazuje, że reformy zapoczątkowane w 1989 roku są słusznym kierunkiem. Nie trzeba szukać dróg trzecich, czwartych, dziesiątych. Demokracja, wolny rynek, otwarcie na świat - to główne zasady wybrane sześć lat temu i kontynuowane do dzisiaj” („Polityka” nr 45 z 11 listopada 1995 r.).

Po piąte - w wyniku tych i innych deklaracji według oficjalnych danych CBOS 62 proc. społeczeństwa uważa, że podział społeczeństwa na postkomunistów i ludzi „Solidarności” nie ma znaczenia („Polityka” nr 44 z 4 listopada 1995 r.). Już doświadczenie rządu SLD-PSL wskazuje, że nie mają one zamiaru być rzecznikami pracującej większości społeczeństwa. Słusznie zatem, choć w celach wyborczo-propagandowych, wytykał Wałęsa koalicji SLD-PSL, że nie spełniła swych obietnic danych w czasie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu w 1993 r. Jeśli zaś dotychczasowa polityka będzie kontynuowana, to wobec konieczności zwiększonych spłat odsetek za zaciągnięte kredyty, przypadająca na lata 1996-1997, grozi to przegranie przez SLD wyborów parlamentarnych w 1997 roku.

Po szóste - taka polityka prezydenta i koalicji SLD-PSL może doprowadzić do zmiany układu sił w łonie tych ugrupowań, co może się wiązać z odejściem z nich sił i ugrupowań bardziej radykalnych i lewicowych lub z rozpadem koalicji rządowej. Namiastkę tego przeżyliśmy tuż po wyborach prezydenckich, kiedy to uchwalono dla Waldemara Pawłaka votum nieufności jako przywódcy PSL, co może przesądzić o eliminacji go z politycznych gier Wałęsy, prawicy i własnej partii. Podobne przetasowania mogą zająć w łonie Unii Pracy i Unii Wolności. Efektem tych przetasowań może być powstanie rewolucyjnej partii robotniczej, która będzie zmuszona do wystawienia własnych kandydatów już w przyszłych wyborach parlamentarnych i prezydenckich, jak również powstanie nowej silnej partii centrowo-prawicowej na bazie SdRP (SLD), UW, UP i częściowo PSL. Bardzo znamienity był z tego punktu widzenia wspólny artykuł W. Cimoszewicza i A. Michnika, zawierający w istocie rzeczy propozycję zjednoczenia ugrupowań okrągłostolowych przeciwko skrajnej prawicy pod hasłem dialogu oraz „prawdy i pojednania” („Gazeta Wyborcza” nr 210 z 9-10 września 1995 r.). gdyby do tego, przewidywanego już od dawna wydarzenia miało dojść, to jednocześnie nastąpiłoby zjednoczenie obozu prawicowego, chadecko-nacjonalistycznego. Nawet z Unii Polityki Realnej podjęto próbę usunięcia z kierownictwa partii Janusza Korwina-Mikkego, który w wyborach prezydenckich zdobył 428.969 głosów (tj. 1,52 proc. uprawnionych), gdy to się nie udało jego przeciwnicy dokonali rozłamu i utworzyli nową Partię Polityki Realnej. Wszystko wskazuje więc na to, że po wyborach prezydenckich zacznie się kształtować nowa mapa polityczna Polski.

Po siódme - dzięki zmianie na stanowisku prezydenta nastąpi zacieśnienie współpracy pomiędzy rządem a prezydentem, czyli masy pracujące zostaną pozbawione złudnych i pozornych rzeczników swoich praw, a w parlamencie będzie można bezkolizyjnie przeforsować niekorzystne dla nich zmiany systemu ubezpieczeń społecznych i emerytalno-rentowego, systemu oświaty, służby zdrowia, a także oczekiwany przez całą prawicę konkordat. Skrajna prawica zacznie stroić się w szaty „obrońcy ludu”, utrwalając tym samym dotychczasową dezorientację mas pracujących.

„SZPIEGOSTWO” A PRÓBA ZAMACHU STANU

W czasie, gdy nie była jeszcze znana ostateczna decyzja Sądu Najwyższego, co do uznania ważności wyborów prezydenckich, siły skrajnie prawicowe, mające monopol w środkach masowego przekazu, rozpętały histeryczną i chamską nagonkę przeciwko premierowi Józefowi Oleksemu, oskarżając go publicznie o szpiegostwo na rzecz Rosji. Nie jest to pierwsza próba wykorzystania stosunków polsko-rosyjskich i ogromnych uprzedzeń w świadomości narodu polskiego do walki wewnętrznej.

Po wyborach parlamentarnych w 1991 roku, kiedy to SLD stał się drugim co do liczebności ugrupowaniem parlamentarnym, zdobywając 60 mandatów w Sejmie (Unia Demokratyczna zdobyła wówczas 62 mandaty), rozpoczęto „rewelacje” na temat pożyczki pieniężnej KPZR dla PZPR i udziału w niej Leszka Millera. Chodziło wówczas o izolację tych dwu największych ugrupowań w Sejmie i przejęcie władzy przez skrajną prawicę drogą parlamentarnego zamachu stanu. Rozpętając obecnie sprawę „szpiegostwa” J. Oleksego, chodzi przede wszystkim o zdyskredytowanie wyników wyborów prezydenckich, w których większość wyborców udzieliła poparcia dla przywódcy SdRP, o izolację lewicy burżuazyjnej, o rozbięcie koalicji SLD-PSL, o doprowadzenie do zmiany układu sił w łonie SdRP lub do jej rozbitcia, a przynajmniej przejściowe pozyskanie przez skrajną prawicę PSL, Unii Wolności i Unii Pracy, o rozbięcie wstępnego porozumienia głównych architektów okrągłego stołu. Dyskredytacja tymi metodami wyników wyborów i systemu demokracji parlamentarnej ma więc doprowadzić do kolejnego zamachu stanu, przeprowadzonego przez skrajną prawicę pod bardzo szczytnymi i patriotycznymi hasłami.

Nie można również wykluczyć sytuacji, że wywiady zagraniczne prowadzą grę w związku z obawami o częściową reorientację polskiej polityki zagranicznej oraz wokół ewentualnego przyjęcia Polski do NATO lub stopedowania go.

* * *

Wyniki wyborów prezydenckich w niczym nie zmieniają położenia pracującej większości społeczeństwa, co więcej, rzecznikom kapitalizmu pozwoliły zdobyć nawet pewien „kredyt zaufania”, który wystarczy do najbliższych wyborów parlamentarnych. Krytyka programu i działalności rządzącej koalicji i jej prezydenta, ich umizgów i ustępstw wobec skrajnej prawicy pozostaje jednym z głównych zadań rewolucyjnej lewicy. Kompromitacja sił uczestniczących w kapitalistycznych przemianach powinna stać się sygnałem do odbudowy rewolucyjnej partii politycznej.

LESZEK KWAŚNY

KOŚCIÓŁ A WYBORY PREZYDENCKIE

MARIUSZ ORNAT

W środkach masowego przekazu, zdominowanych przez prawicę, uzasadnia się tezę, że Kościół katolicki w wyborach prezydenckich 1995 r. był bardzo wstrzemięźliwy w swych ocenach i zaangażowaniu politycznym. Jednakże nie w tych ocenach próby rzeczowego wyjaśnienia przyczyn owej rzekomej wstrzemięźliwości i ostrożności w popieraniu kandydatów na prezydenta.

Pomimo tych powszechnie lansowanych poglądów należy stwierdzić, iż Kościół katolicki zaangażował się maksymalnie w stosunku do istniejących warunków. Kościół jako jedyna obecnie organizacja totalitarna o zasięgu międzynarodowym, w której wszystkie sprawy od finansów po politykę ka-

drową są poza zasięgiem oddziaływania wiernych wyznawców, posiada oczywiście potencjalne możliwości do znacznie większej aktywności politycznej, niż to uczynił w ostatniej kampanii prezydenckiej. Jeśli tych możliwości w pełni nie wykorzystał, to tylko ze względu na swoje bieżące i perspektywiczne interesy.

PRZYZYNY WZGLĘDNEJ WSTRZEMIĘŻLIWOŚCI POLITYCZNEJ

Główne przyczyny względnej wstrzemięźliwości Kościoła katolickiego w ocenach oraz aktywności politycznej w ostatnich wyborach prezydenckich

można rozpatrywać w trzech podstawowych płaszczyznach, będących we wzajemnym powiązaniu z sobą.

Na wstępie należy zauważyć, że wszyscy bez wyjątku kandydaci na prezydenta zabiegali, jeśli nie o aktywne poparcie ze strony przedstawicieli lub hierarchii Kościoła katolickiego, to co najmniej o jego życziwą neutralność. W związku z tym kandydaci na prezydenta odwoływali się mniej lub bardziej oficjalnie do swego chrześcijańskiego rodowodu, pokazywali się w towarzystwie mniej lub bardziej znaczących przedstawicieli Kościoła, na mniej lub bardziej licznych uroczystościach, w mniej lub bardziej uczęszczanych miejscach kultu religijnego. Kościół w ocenie kandydatów nie kierował się ich ambicjami, lecz swoimi własnymi interesami.

Pierwsza płaszczyzna, na której można rozpatrywać praktyczne zaangażowanie się Kościoła katolickiego, to kwestia stosunku do kandydatów rządzącej koalicji. Jeśli idzie o kandydata PSL, Waldemara Pawłaka, to hierarchowie Kościoła nie opowiedzieli się oficjalnie ani za nim ani przeciwko niemu. Szło oczywiście nie tyle o samego Pawłaka (który dla większości ugrupowań politycznych wydaje się niedoświadczonym i niesamodzielnym politykiem), ale o jego potencjalny elektorat - mieszkańców wsi, którzy byli uważani za bardziej podatnych na wezwania Kościoła. Kościół nie chciał zadrażniać stosunków z ludnością wiejską, szczególnie z uboższą częścią chłopstwa, gdyż chciano się nią posłużyć w poparciu preferowanego przez Kościół kandydata. Pawlak jako kandydat nie był poważnie traktowany przez Kościół od samego początku kampanii.

Jeśli zaś idzie o stosunek do Aleksandra Kwaśniewskiego, to chociaż początkowo hierarchowie kościelni nie używali jego nazwiska, to jednak od samego początku w sposób jednoznaczny wystąpili przeciwko jego formacji politycznej. Za obciążający uznali udział Kwaśniewskiego w strukturach partyjno-państwowych, przynależność do spadkobierców PZPR i PRL, do przeciwników konkordatu z Watykanem i zwolenników aborcji. Kościół liczył się głównie z nastrojami antyklerykalnymi w społeczeństwie, obawiając się, że personalne i otwarte atakowanie Kwaśniewskiego doprowadzi jedynie do wzrostu jego popularności.

Żywiłowy i niezorganizowany antyklerykalizm w społeczeństwie polskim, ograniczony niewątpliwie przez fakt, iż papieżem jest Polak, ma swe socjalno-ekonomiczne i polityczne przyczyny. Duchowieństwo należy do najlepiej sytuowanej ekonomicznie części społeczeństwa, bierze aktywny udział w kapitalistycznej transformacji ustrojowej, prowadzi osobiście różne interesy, przyjmuje świadczenia ze strony różnych firm prywatnych (także o PRL-owskim i PZPR-owskim rodowodzie), inicjuje i koordynuje wiele akcji antykomunistycznych, jego doktryna jest obecna w środkach masowego przekazu, wspiera najbardziej prawicowe partie polityczne. Duchowieństwo katolickie posiada liczne przywileje ekonomiczne i polityczne, które wykorzystuje w codziennej praktyce. Duchowieństwo przez coraz liczniejsze kręgi społeczne postrzegane jest nie tylko jako siła duchowa, ale jako jeszcze jedna, szczególnie agresywna, grupa, biorąca udział w wyzysku mas pracujących.

Do tych najgłębszych źródeł antyklerykalizmu Kościół katolicki nie chce i nie może się publicznie przyznać. Kościół woli, z jednej strony - przedstawiać antyklerykalizm jako wynik walki duchowieństwa o czystość moralną społeczeństwa, sugerując tym samym, że duchowieństwo jest ofiarą walki o słuszną sprawę, a z drugiej strony - wszelką krytykę niemoralnej postawy części duchowieństwa, nawet ze strony wiernych, przedstawiać jako ateizm i neopoganstwo, próbując tym samym stanąć ponad wszelką krytykę społeczną.

Sojusz Lewicy Demokratycznej nie podjął próby bezpośredniego wykorzystania nastrojów antyklerykalnych, obawiając się wzrostu agresywności Kościoła oraz licząc zapewne na wdzięczność, co, jak już nie raz pokazało doświadczenie, było do pewnego stopnia naiwnością.

Druga płaszczyzna, na której można rozpatrywać względną wstrzemięźliwość Kościoła katolickiego w wyborach prezydenckich 1995 roku, to kwestia stosunku do partii prawicowych.

Stanowisko wobec kandydatów prawicowych uległo wielokrotnej zmianie, co w sumie przyczyniło się zapewne do politycznej klęski przywódców Kościoła katolickiego.

Początkowo hierarchowie doskonale zdawali sobie sprawę z niepopularności Wałęsy oraz z tego, że Wałęsa poprzez manifestowanie swego dewocyjnego światopoglądu religijnego, stał się tym samym kompromitujący dla Kościoła, ale nie było początkowo nikogo zdolnego zająć jego miejsce, choć amatorów nie brakowało.

Hierarchowie Kościoła czekali więc na rozwój wydarzeń, aż któryś z kandydatów prawicy zacznie zdobywać znaczącą przewagę nad pozostałymi, aby następnie przyłączyć się do głównego faworyta. W pierwszej fazie kampanii wyborczej dobre notowania miała Hanna Gronkiewicz-Waltz. Specjaliści od nastrojów społecznych i manipulowania nimi orzekli, iż w przeciwieństwie do Wałęsy „*Pani Prezes Wypelniała lukę w życiu politycznym, zaspokajała tęsknotę za osobą fachową i kompetentną, a zarazem nie uwikłaną w gry partyjne*” („Rzeczpospolita” nr 259 z 8 listopada 1995 r.).

Hanna Gronkiewicz-Waltz wystartowała jako kandydatka „niezależna” od istniejących układów politycznych w obozie solidarnościowym. Szybko się jednak okazało, że chociaż uzyskała 16-17-procentowe poparcie społeczne, napotkała opór ze strony krytycznych wobec klerykalizmu warstw społecznych oraz bardziej „zasłużonych” kandydatów prawicy. Urządzenie wieców wyborczych w czasie pielgrzymek, uroczystości religijnych i nabożeństw, odsłoniło w pełni jej zależność od hierarchii kościelnej, niesamodzielną i marionetkową poczynając od poglądów, dewocyjne i koniunkturalne akcentowanie swojej religijności. Dokąd miano nadzieję, że dzięki jej kandydaturze uda się uaktywnić i pozyskać dla prawicy biernie dotychczas kręgi społeczne oraz zdystansować Kwaśniewskiego, lansowano jej osobę w środkach masowego przekazu. Gdy okazało się jednak, że odbiera ona głosy dla potencjalnych wyborców Wałęsy (któremu zawdzięczała swoje stanowisko prezesa NBP i co wywołało pewien niesmak w opinii publicznej), a także Jana Olszewskiego, Jacka Kuronia i Janusza Korwina-Mikkego, spotkał ją atak z tej strony.

„*Jarosław Kaczyński, polityk do końca niechętny kandydaturze Hanny Gronkiewicz-Waltz, podejrzewa w nagłej zmianie efekt działania służb specjalnych. - Destrukcja poparcia dla pani Waltz była tak gwałtowna, że robiła wrażenie zorganizowanej operacji*” („Rzeczpospolita” nr 259 z 8 listopada 1995 r.).

Szefowa CBOS Lena Konarska-Bobińska stwierdza w związku z tym, że „*Hanna Gronkiewicz-Waltz nie miała w ogóle własnego elektoratu. Zaufanie dla niej było jak bańka mydlana, nie opierało się na głębszych postawach elektoratu*” Dlatego „*Nie powinno się zadawać pytania, dlaczego spadło jej poparcie, ale dlaczego wyborcy mieliby na nią głosować, czym sobie na to zapracowała?*” („Rzeczpospolita” nr 259 z 8 listopada 1995 r.), czym sugeruje się, iż wyborcy nie mieli istotnych powodów do głosowania na nią, zaś obóz prawicy wysunął ją w celach sondażowych i manipulacyjnych.

Hanna Gronkiewicz-Waltz zdobyła w pierwszej turze wyborów prezydenckich ponad 492 tysiące głosów, czyli 1,75% uprawnionych do głosowania. Stosunkowo największe poparcie zdobyła m. in. w woj. gdańskim, opolskim, katowickim, bielskim, krakowskim, nowosądeckim, tarnowskim. Tylko w trzech województwach zdobyła ponad 141 tysięcy głosów (katowickie 67.379, warszawskie 41.569 i gdańskie 32.279), czyli około 28,7% wszystkich swoich głosów. Jej względne sukcesy miały miejsce głównie w tych województwach, w których zwycięstwo odniósł Wałęsa w drugiej turze wyborów.

Jeśli więc idzie o drugą płaszczyznę analizy stosunku Kościoła katolickiego do kandydatów na prezydenta, to Kościół jest stosunkowo powściągliwy w pierwszej fazie kampanii wyborczej, kiedy trwa sondowanie możliwości wyborczych poszczególnych kandydatów prawicy i wówczas wstępnie popiera Hannę Gronkiewicz-Waltz. Ale kiedy to ostantacyjne poparcie staje się dla niego kompromitujące, hierarchowie przerzucają swoje preferencje na spisanego początkowo na straty Wałęsę, dysponującego potężnym aparatem propagandowym, administracyjnym oraz służb policyjnych i wojskowych. W tej sytuacji ilość zdobytych przez Wałęsę głosów nie może być miarą skali wpływów Kościoła w społeczeństwie. Poparcie społeczeństwa dla takich spraw jak zakaz aborcji i stosowania środków antykoncepcyjnych, nauczania religii w szkołach i haniebnego dla państwa konkordatu wynosi jedynie od 25 do 30 proc., co i tak jest bardzo optymistyczną prognozą, jeśli się weźmie skalę nacisków na świadomość społeczną („Polityka” nr 48 z 2 grudnia 1995 r.).

Trzecia płaszczyzna, na której można rozpatrywać przyczyny względnej wstrzemięźliwości Kościoła katolickiego w prezydenckiej kampanii wyborczej, to stosunki wewnętrzne w samym Kościele.

Polityka Episkopatu cały czas jest uwarunkowana wewnętrznymi sprzecznościami w łonie Kościoła, jak i wspólnoty wiernych wyznawców. Z jednej strony - część duchowieństwa osobiście zaangażowana jest w utrwalanie kapitalizmu i sankcjonowanie religijne dokonywanej kosztem mas pracują-

cych transformacji ustrojowej. Wśród tej grupy część opowiada się za spokojem w imię właśnie pomyślności kapitalistycznej transformacji, a druga część z tych samych powodów opowiada się za kontynuacją antykomunistycznej krucjaty, gdyż widzi rosnące niezadowolenie społeczne i nie chce dopuścić do zdystansowania go przez siły rewolucyjnej lewicy, poprzez sterroryzowanie mas pracujących. Najbardziej radykalni w swym antykomunizmie przedstawiciele Kościoła posługują się Radiem Maryja, a echa tych poglądów, wyrażone często poetyckim językiem ewangelii, pobrzmiwają w dokumentach Episkopatu.

Z drugiej strony - na politykę Kościoła wywierają wpływ zawiedzione kapitalistycznymi przemianami masy pracujące, stanowiące główną bazę religijną Kościoła i cel jego indoktrynacji, szukające często materialnego i moralnego wsparcia w Kościele, potępienia narastającej skali wyzysku ekonomicznego. Religijne masy pracujące, walczące z wyzyskiem i uciskiem duchowym mają raczej niewielkie oficjalne poparcie ze strony większości duchowieństwa, chociaż stanowią główne źródło jego codziennych wpływów finansowych. Osoby duchowne, które chciałyby na wzór „teologii wyzwolenia”, chociaż moralnie, wesprzeć masy pracujące są w Kościele katolickim w Polsce odsunięte od wpływów i stanowisk.

W imię perspektywicznych interesów Kościoła i kapitalistycznej transformacji, czyli kontynuacji wyzysku i duchowego osaczenia mas pracujących, chwilowo powstrzymano prawicowo-radykalne tendencje i zezwolono wbrew zapowiedziom przeora z Jasnej Góry na odwiedzenie tego sanktuarium przez osoby nie głoszące na Wałęsę w drugiej turze wyborów prezydenckich. Pozornie zaakceptowano wyniki wyborów, choć prymas Józef Glemp nie był celowo obecny na uroczystości zaprzysiężenia prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, a jego zwycięstwo wyborcze uznał za triumf „neopogaństwa”. („Tygodnik Powszechny” nr 49 z 3 grudnia 1995 r.).

Pomimo zaakceptowania wyników wyborów prezydenckich Kościół postanowił pod hasłem walki z neopogaństwem odegrać się w najbliższych wyborach parlamentarnych. Póki co, nie pogardzi dobrami materialnymi, jakie może otrzymać z rąk „neopogan” po zatwierdzeniu przez nich konkordatu.

CZY ZWYCIĘSTWO KWAŚNIEWSKIEGO ZAGRAŻA POZYCJI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Na pierwszy rzut oka może wydawać się, że Kościół stał się wielkim przegrany w wyniku kampanii wyborczej po tym, jak prymas Józef Glemp zwrócił się z apelem „*Aby w każdej świątyni - gdzie to będzie możliwe - w sobotę 18 listopada w godzinach wieczornych odprawić Mszę Świętą lub nabożeństwo z Apelem Jasnogórskim w intencji wyboru prezydenta Wałęsy i całej Ojczyzny. (...) Podobnie w niedzielę 19 listopada należy odprawić jedną Mszę Świętą w intencji Ojczyzny i Wyborów, dając odpowiednie wezwanie w Modlitwie Powszechnej*”. Jeśli jednocześnie zalecał „*zaniechanie tonu agitacyjnego*”, to raczej ze względu na panujący antyklerykalizm wśród samych katolików, a nie ze względu na chęć dania jakichś względów dla Kwaśniewskiego.

Jednakże głębsze spojrzenie na problem pozycji Kościoła katolickiego w społeczeństwie i państwie po wyborach prezydenckich w 1995 r. każe stwierdzić, iż na razie nic, poza jego własną pazernością i chęcią kontrolowania wszelkich przejawów życia społeczno-politycznego jej nie zagraża. **Po pierwsze**, Aleksander Kwaśniewski nigdzie nie składał wyborczych obietnic ograniczenia pozycji Kościoła w państwie i społeczeństwie. **Po drugie**, istnieje tożsamość klasowych interesów większości duchowieństwa i ugrupowania politycznego, z którego wywodzi się A. Kwaśniewski (SdRP), wspólnie zainteresowanych w realizacji z bożą pomocą wielkiego celu na ziemi, tj. kapitalistycznej transformacji ustrojowej. Jeśli dochodzi lub dochodzić będzie do sprzeczności między nimi, to będą miały one prywatno-warstwowy i często przejściowy charakter, dotyczyły będą wielkości udziału w podziale zysków, a nie ewentualnej potrzeby zniesienia wyzysku jako takiego.

Po trzecie - SdRP, z której wywodzi się A. Kwaśniewski, jest spadkobiercą tych sił z byleży PZPR, które pomimo pewnych spektakularnych sprzeczności, doskonale współpracowały z Episkopatem i duchowieństwem w czasach PRL-u, zapewniając mu rosnące przywileje za pomoc w łagodzeniu sprzeczności społecznych i rozładowywaniu okresowych konfliktów społecznych i politycznych. **Po czwarte** - SdRP (SLD) jest w koalicji z PSL, które musi się liczyć z przywiązaniem dużej części chłopów do Kościoła i religii katolickiej i nie może nawet myśleć o walce z Kościołem. SdRP, pomimo wyboru Kwa-

śniewskiego prezydentem, nie ma dość siły w Sejmie, aby jakieś antyklerykalne ustawy ewentualnie przeprowadzić. Póki co, nie ma nawet dowodów, że takie zamiary lęgną się w łonie kierownictwa SdRP.

Wydaje się, że głównie te przyczyny zadecydowały o tym, że część duchowieństwa nie angażowała się czynnie w kampanię oszczerstw i pomówień przeciwko A. Kwaśniewskiemu i zapewne nieoficjalnie w tajnym akcie wyborczym poparła nawet Kwaśniewskiego, aby w ten sposób przeciwstawić się wojowniczym kręgom hierarchii kościelnej na czele z prymasem Józefem Glemem i Leszkiem Stawojem-Głodziem.

Bardzo znamienne były słowa wyrażone na łamach „Gazety Wyborczej”, kiedy analizując skutki wyborów prezydenckich, w wyniku których „*komunizm nie wróci*”, wskazano, że hierarchowie Kościoła „*ponoszą znaczną część odpowiedzialności za sukces Kwaśniewskiego*. Już w roku 1993 społeczeństwo wyraźnie dało do zrozumienia biskupom, że nie życzy sobie tak wiele Kościoła w polityce i tak wiele polityki w Kościele. Lecz duchowieństwo nadal trwało w błędnym przeświadczeniu, że to ono winno decydować, jak mają myśleć i postępować w życiu publicznym miliony polskich katolików. Jest dramatycznym paradoksem, że sukces postkomunisty stanowi w wielkim stopniu następstwo głębokiego sporu wewnątrz polskiego katolicyzmu. Bo chyba jest dziś oczywiste, że głos oddany na Kwaśniewskiego oznaczał dla wielu katolików wyrażenie wotum nieufności wobec hierarchii kościelnej. Nie jest to żaden spór o Boga i chrześcijańskie wartości, jak usiłuje nas przekonywać część biskupów, lecz protest przeciw triumfalistycznej, integrystycznej i dalekiej od posoborowej otwartości polityki Episkopatu” („Gazeta Wyborcza” z 9-10 grudnia 1995 r.).

Spośród ugrupowań chadeckich oficjalnego poparcia Kwaśniewskiemu udzielili jedynie przedstawiciele Unii Chrześcijańsko-Społecznej „Akcja Eklezjalna”, gdyż „... program Kwaśniewskiego bliższy jest doktrynie II Soboru watykańskiego, encyklikom społecznym Jana Pawła II i idei ekumenizmu od programowych deklaracji prawicy” („Rzeczpospolita” nr 259 z 8 grudnia 1995 r.).

Ponieważ pozycja Kościoła w społeczeństwie i państwie wydała się dla wielu duchownych na tyle utrwalać nie ograniczyli się oni do przypomnienia ogólnych „chrześcijańskich wartości moralnych”, ale posunęli się do narzucenia wyborcy konkretnych, sobie wygodnych osób. „Niektórzy duchowni prowadzili także antypropagandę - zaskakująco agresywną i kłamliwą - wobec Jacka Kuronia, Biskup ołbiński Andrzej Śliwiński nazwał go „spadkobiercą totalitaryzmu bolszewickiego”, zaś o. Tadeusz Rydzik z Radia Maryja przypisał mu „odpowiedzialność za Katyń i zbrodnię stalinowskie”” („Polityka” nr 48 z 2 grudnia 1995 r.).

POLITYCZNE OPĘTANIE I PASJA KOŚCIOŁA

Kościół i kler katolicki, choć nie zajmują dziś dominującej pozycji w wielu krajach świata, to jednak wszędzie znajdują się w ścisłych związkach i zależnościach od wielkich monopolii i ośrodków kapitału, partii i rządów burżuazji, syjonizmu i masonerii. Kościół katolicki odegrał istotną rolę w „przerzucaniu pomostów” między Wschodem a Zachodem oraz w obaleniu „realnego socjalizmu”. Jest dziś jednym z głównych instrumentów, poprzez który państwa imperialistyczne usiłują oddziaływać na terenach byłych państw socjalistycznych, a w szczególności zaś penetrować kraje b. ZSRR oraz kraje zacofane i rozwijające się. Oddziaływanie na kraje b. ZSRR odbywa się w dużym stopniu za pośrednictwem państwa i Episkopatu polskiego oraz zamieszkujących jego terytorium poloniusów.

Kościół katolicki w Polsce jest jednym z istotnych elementów systemu stosunków społecznych i systemu politycznego panowania burżuazji. Stanowi on ekonomiczną o polityczną formę organizacji kleru katolickiego, jako szczególnej części klas posiadających, której działalność duszpasterska jest podporządkowana. Kościół katolicki, wbrew swoim deklaracjom, zdobył istotny wpływ na środki masowego przekazu i szkolnictwo, wojsko, policję i sądownictwo, święci obiekty administracji państwowej i gospodarczej oraz samochody, urzęda „spotkania opłatkowe” dla sportowców i polityków z udziałem członków rządu, daje oprawę liturgiczną dla świąt państwowych i narodowych, pozując na jedynego obrońcę tradycji narodowych. Pod naciskiem Kościoła uchwalono ustawę antyaborcyjną, a prezydent Wałęsa jako urzędnik państwowy stanął w jej obronie, choć doprowadziło to do śmierci wielu kobiet i porzucenia wielu dzieci i przy pełnej świadomości, że większość

społeczeństwa jest przeciwna Kościołowi w tej sprawie. Kościół katolicki w swym dążeniu do totalnego podporządkowania sobie większości społeczeństwa posługuje się i popiera każdą wierną sobie kanapową i awanturniczą partię polityczną, którą porzuca, gdy wykona ona swoje zadanie. Nawet uchodzący za symbol otwartości i inteligencji w Kościele katolickim Józef Tischner musiał przyznać publicznie, że „*Dzisiaj Kościół walczy głównie o własne interesy*”, że „*W sferze publicznej religijność wyraża się najczęściej inwektywami pod adresem niewierzących*”, a nawiązując do faktu, że duża część wierzących głosowała na potępionego przez hierarchię kościelną kandydata na prezydenta, pisał, że Kościół „... z *Dobrej Nowiny* robi (...) *złą nowinę. Człowiek idzie do Kościoła i słyszy same złe nowiny. Na końcu jeszcze i to, że go w piekle usmażą, bo źle zagłosował*” („Trybuna Śląska” z 1 grudnia 1995 r.).

Tam, gdzie konflikty społeczne są lub stały się ostro zarysowane, Kościół potrafi wznieść się jedynie dla propagowania demagogicznego hasła neutralności politycznej, aby z jednej strony - nie utracić ideowego i politycznego wpływu na masy pracujące oraz zwalczać wszelkie przejawy solidaryzowania się środowisk katolików świeckich i duchownych z walką ludzi pracy o

swoje życiowe interesy, a z drugiej - aby chronić swoje i klas posiadających interesy. Od wielu lat Kościół katolicki za swego głównego wroga uważa rewolucyjny ruch robotniczy. Dla ułatwienia sobie zadania fałszuje odległą historię walk mas pracujących z wyzyskiem i najnowszą historię PRL-u, założenia marksizmu-leninizmu, ruchu komunistycznego i materializmu dialektycznego.

Są one dla niego nosicielami wszelkiego zła i wulgarного materializmu i kolektywizmu, wypaczającymi daną przez Boga „naturę ludzką”. Pomimo jego wysiłków coraz powszechniejsza staje się jednak świadomość, że w rzeczywistości aktywny wyraz tym wulgarno-materialistycznym tendencjom daje duża część kleru w pazerności na dobra materialne i nieokiełznanych ambicjach politycznych.

Zakłamanie i obluda wśród hierarchii katolickiej jest tak wielkie, że nigdy nie przyzna się ona do jakiegokolwiek porażki czy klęski politycznej. Z każdej sytuacji stara się ona wyciągnąć maksymalne korzyści dla siebie.

Hierarchia Kościoła katolickiego poprzez „rząd dusz” chce kontrolować nie tylko wszelkie przejawy życia społecznego, ale także chce stanąć ponad władzą państwową, a służyć ma temu hasło prymatu etyki nad polityką.

BUDŻET 1996

11 stycznia 1996 roku zdecydowaną większością głosów Sejm uchwalił ustawę budżetową na 1996 rok - najważniejszą ustawę określającą warunki bieżącego funkcjonowania gospodarki i państwa. Za przyjęciem ustawy głosowało 269 posłów koalicji SLD - PSL, przeciw 116 posłów opozycji, wstrzymało się od głosu trzech posłów.

Zaakceptowano kilkanaście poprawek szczegółowych, które nie mają istotnego znaczenia z punktu widzenia generalnych założeń koncepcji i konstrukcji budżetu. Przy tym - rzecz znamienita - debacie sejmowej nie towarzyszyły w tym roku - w odróżnieniu od lat poprzednich - przepychanki polityczne. Z uwagi na to, że projekt budżetu rzekomo lewicowej ekipy rządzącej koalicji SLD - PSL - mimo deklaracji zapowiadających politykę gospodarczą realizującą ekonomiczne i socjalne interesy ludzi pracy najemnej - nie był zasadniczo sprzeczny z założeniami programowymi realizowanej po 1989 roku kapitalistycznej „transformacji” systemowej i w gruncie rzeczy stanowi kontynuację i utrwalanie przemian narzuconych przez międzynarodowy kapitał i posłusznie wykonujących jego dyrektywy rodzimych neoliberalów, opozycja nie miała powodów walczyć o obalenie tego budżetu i głosowała przeciw raczej rutynowo i „dla zasady”, z powodów politycznych, a nie merytorycznych, ekonomicznych.

Zgodnie z uchwaloną przez Sejm ustawą budżetową dochody budżetu państwa mają wynieść w 1996 r. 101,118 mld zł (121,9% w stosunku do faktycznie uzyskanych dochodów budżetu w 1995 r., wyższych niż przewidywała to ustawa budżetowa na 1995 r.), wydatki - 109,788 mld zł (120,3% w stosunku do faktycznych wydatków budżetu w 1995 r.).

Z porównania planowanych dochodów z planowanymi wydatkami wynika, że założony deficyt budżetowy ma wynieść w 1996 r. 9,68 mld zł (około 2,8 PKB). Podobny deficyt występował faktycznie w 1995 r. Dług publiczny, którego obsługa ogranicza corocznie możliwości manewru w procesie planowania wydatków państwa, wyniesie około 60% PKB, a jego obsługa pochłonie około 5% PKB.

Planowany wzrost dochodów budżetu państwa na 1996 r. odzwierciedla poprawę makroekonomicznych wskaźników dynamiki gospodarczej osiągniętą w 1995 roku, podobnie jak w poprzednich latach, w znacznym stopniu pod wpływem znacznej poprawy koniunktury gospodarczej w wysokorozwiniętych krajach zachodnich, co sprzyjało wzrostowi eksportu polskiego do tych krajów, a zwłaszcza do Niemiec.

Planowany wzrost dochodów budżetu państwa na 1996 r., opiera się w szczególności na założeniu, że PKB wzrośnie w 1996 r. o 5,5% (osiągając wielkość 345 mld zł). Uzyskanie takiego wskaźnika wzrostu PKB w 1996 r. będzie trudne m. in. ze względu na wyraźne spowolnienie wzrostu gospodarczego w rozwiniętych krajach Zachodu, (chodzi tu w szczególności o pogarszanie się sytuacji gospodarczej Niemiec - największego obecnie partnera handlowego Polski), co wpłynie na obniżenie wymiany handlowej Polski z

krajami zachodnimi. Przewidywany wzrost dochodów budżetu państwa w 1996 r. ma być uzyskany przy założeniu, że stopa inflacji spadnie do 17%. Osiągnięcie takiego wskaźnika inflacji również będzie bardzo trudne. Jednocześnie przyjęcie takiego „napiętego”, chyba zanizzonego wskaźnika inflacji oznacza zanizanie wzrostu dochodów budżetu. Założony wzrost PKB i przyjęty wskaźnik inflacji mają umożliwić osiągnięcie wskaźnika wzrostu płac realnych w gospodarce narodowej średnio o 3,3% oraz realny wzrost emerytur i rent pracowników średnio o 2,5%. Stopa bezrobocia ma zmniejszyć się do około 14%.

Przechodząc do planowanych źródeł dochodów budżetu państwa na 1996 r. należy stwierdzić, iż głównym źródłem dochodów budżetu stają się w coraz większym stopniu podatki pośrednie (VAT, akcyza) oraz tzw. podatki od osób fizycznych czyli głównie opodatkowanie pracowników najemnych, emerytów i rencistów. Udział podatków od osób fizycznych czyli ludzi pracy, emerytów i rencistów zwiększa się np. z 25,6% do 27,9% w 1996 r. Natomiast wciąż niski jest udział podatków od tzw. osób prawnych jako źródła dochodów budżetu państwa. Znaczna część tzw. ludzi biznesu, zarówno legalnie działających przedsiębiorców, jak i różnych aferzystów, działających w tzw. szarej strefie wciąż przywłaszcza ogromne dochody nie opodatkowane. Aparat finansowy państwa również pod rządami „lewicowej” koalicji wykazuje pod tym względem zadziwiającą „niemożność” i nieudolność w ściąganiu należnych państwu podatków. Jedynie od ludzi pracy najemnej, szczególnie pracowników sfery budżetowej, emerytów i rencistów podatki są ściągane zadziwiająco sprawnie.

Ogólnie biorąc podatki pośrednie oraz podatki od osób fizycznych mają zapewnić w 1996 r. około 3/4 dochodów budżetu państwa. Na pozostałe źródła dochodów budżetu przypadnie jedynie około 1/4 dochodów budżetu. Można zatem mówić o rosnącym fiskalizmie, przy tym przede wszystkim w dziedzinie opodatkowania dochodów ludzi pracy przy jednoczesnym niedostatecznym uwzględnianiu w polityce podatkowej rosnącego rozwarstwienia ekonomicznego społeczeństwa i konieczności bardziej sprawiedliwego rozkładania w przekroju społecznym kosztów narzuconej przez USA, Watykan i kapitał międzynarodowy restauracji i „budowy” wolnorynkowego kapitalizmu. (O podejściu rządzącej koalicji i w szczególności liderów SLD do omawianego problemu świadczy m. in. fakt, że prezydent Kwaśniewski nie wycofał weta w sprawie sześciostopniowej skali podatkowej, która miała zapewnić pewne zmniejszenie opodatkowania biedniejszej części społeczeństwa). Aparat finansowy jest nadal jakoś podejrzanie „bezzadny” i nieefektywny, jeśli chodzi o zwiększenie ściągalności podatków od dochodów sektora prywatnego i szarej strefy w gospodarce oraz powiększenie w ten sposób dochodów budżetowych.

Prócz tego krytycy ustawy budżetowej zwracają uwagę na to, że występuje nadal niedoszacowanie dochodów budżetowych wskutek nie tylko zbyt napiętych i mało realnych zadań w zakresie obniżenia inflacji, a także w wyniku niedoszacowania dochodów z handlu zagranicznego (cła i inne opłaty).

Istotne znaczenie dla charakterystyki ustawy budżetowej na 1996 r. ma przewidywana dynamika wzrostu i struktura wydatków budżetowych. W ustawie budżetowej mówi się wprawdzie o wzroście wydatków na tzw. priorytetowe działy gospodarki narodowej, jednocześnie rzecz biorąc, przewidywana struktura wydatków nie będzie wiele różnić się od struktury wydatków budżetowych zrealizowanych w roku ubiegłym.

Jeśli chodzi o dynamikę wzrostu wydatków budżetowych na podstawowe działy gospodarki narodowej, to najwyższy wzrost wydatków w stosunku do ubiegłego roku przewidziano na szkolnictwo wyższe (przyrost realny o 13,6%) i rolnictwo (przyrost realny o 12,2%). Wydatki na pozostałe działy gospodarki narodowej charakteryzują kolejno następujące wskaźniki realnego przyrostu: administracja państwowa - wzrost wydatków o 9,2%, wymiar sprawiedliwości - o 9,1%, bezpieczeństwo publiczne - o 7,7%, nauka - o 7,6%, oświata i wychowanie - o 5,6%, ochrona zdrowia - o 5,1%, obrona narodowa - o 4,3%, kultura i sztuka - o 3,7% i opieka społeczna - o 2,3%.

W przedstawionym zróżnicowaniu dynamiki wzrostu przewidywanych wydatków budżetowych na poszczególne działy gospodarki narodowej zwraca uwagę utrzymujący się nadal niski wzrost wydatków budżetowych na naukę (nakłady na naukę pozostaną na poziomie ok. 0,5% dochodu narodowego, będzie to oznaczać praktycznie utrzymywanie i utrwalanie, trwającego pod początku kapitalistycznej „transformacji”, postępującego regresu w tej dziedzinie), oświatę, ochronę zdrowia, kulturę i sztukę. Nie można też pominąć milczeniem faktu, iż w warunkach coraz bardziej pogłębiającego się ekonomicznego rozwarstwiania społeczeństwa, masowego bezrobocia i pogarszania się warunków życiowych większości społeczeństwa i poszerzania się obszaru ubóstwa i nędzy (około 45% ludności żyje na poziomie poniżej minimum socjalnego), rządząca koalicja realizująca tzw. strategię dla Polski G. Kołodki, przewiduje w ustawie budżetowej na 1996 r. najniższy wskaźnik wzrostu wydatków budżetowych właśnie na opiekę społeczną.

Planowana struktura wydatków budżetowych w 1996 r. wyraża nie tyle szczególne preferencje dla wzrostu gospodarczego, ile poszukiwanie

kompromisu między dążeniem do utrzymania dynamiki wzrostu i dążeniem do zmniejszenia wysokiej wciąż inflacji. Jeśli zaś chodzi o społeczne aspekty rozwoju gospodarczego, to należy zaznaczyć, że założona w budżecie na 1996 r. dynamika i struktura wydatków budżetowych świadczy o kontynuowaniu przez koalicję SLD - PSL i w szczególności przez wicepremiera i ministra finansów G. Kołodkę tylko w niewielkim stopniu złagodzonej i uwolnionej od skrajności „czystych liberałów” neoliberalnej polityki gospodarczej. Zgodnie z takim podejściem głównym założeniem polityki budżetowej staje się zmniejszenie redystrybucyjnej roli budżetu państwa i finansów publicznych i zmniejszanie zakresu redystrybucji dochodu narodowego, a więc zmniejszanie roli państwa w gospodarce zastępowanego przez wolny rynek.

Jednak z doświadczeń rozwiniętych krajów kapitalistycznych wynika, że wolny rynek, wolnorynkowe mechanizmy regulacji nie rozwiązują problemów społecznych, lecz na odwrót generują i pogłębiają sprzeczności ekonomiczne i społeczne, które nie mogą być rozwiązywane bez ingerencji państwa i świadomej, państwowej polityki ekonomicznej i socjalnej. Mimo, iż zgodnie z „propagandą sukcesu” G. Kołodki Polska ma być obecnie wzorcowym krajem wzrostu gospodarczego w Europie Środkowo-Wschodniej, osiągnięte dość wysokie wskaźniki dynamiki gospodarczej jak dotąd nie przekładają się w zauważalny sposób na przedsięwzięcia polepszające warunki życiowe większości społeczeństwa oraz bardziej sprawiedliwie rozkładające koszty narzuconej Polsce „budowy” wolnorynkowego kapitalizmu. Reformy ubezpieczeń społecznych, oświaty, służby zdrowia zakładające i gwarantujące realne uwzględnianie interesów ludzi pracy oraz weteranów pracy pozostają wciąż w sferze obietnic i projektów. Obietnice poprawy sytuacji ludzi pracy oraz emerytów i rencistów składane w tym zakresie przez kolejne rządy są z reguły niedotrzymywane.

A.B.

ASYMETRYCZNE WSPÓŁZALEŻNOŚCI

ANDRZEJ BIELSKI

Jednym z propagandowych mitów upowszechnianych górnikiem przez neoliberalistów uzasadniających rzekomą nieuchronną konieczność i bezalternatywność dokonującej się restauracji kapitalizmu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej jest pogląd, że tzw. kapitalistyczna transformacja nie tylko zapewni przejście od totalitaryzmu do demokratycznego „społeczeństwa otwartego” w sferze politycznej. Ma ona zapewnić także powstanie ekonomicznej podstawy „społeczeństwa otwartego” w wyniku totalnej prywatyzacji (czyli w dużym stopniu rozkradania lub wyprzedawania - często za bezcen obcym kapitalistom) własności państwowej i maksymalnego ograniczenia ekonomicznej roli i funkcji państwa w „budowanej” kapitalistycznej gospodarce wolnorynkowej.

Kapitalistyczna „transformacja” ustrojowa ma obejmować także sferę międzynarodowych powiązań handlowych i szerzej - ekonomicznych krajów podlegających tej „transformacji” i zapewnić przejście od centralnie planowanej gospodarki o cechach autarkicznych, w której zewnętrzne powiązania gospodarcze i naukowo-techniczne były regulowane przez państwo do gospodarki „otwartej” podporządkowanej wolnej grze sił i wolnej konkurencji na rynku światowym.

Przemikła się przy tym skrętnie fakt, że zarówno doświadczenia okresu międzywojennego, jak i dotychczasowe doświadczenia „kapitalistycznej transformacji” stosunków ekonomicznych w postaci polskiej „terapii szokowej” czyli radykalnie i szybko czy też bardziej ewolucyjnie jak to ma miejsce w innych krajach postsocjalistycznych Europy Środkowo-Wscho-

dniej i b. ZSRR potwierdzają, że prowadzi to nieuchronnie do utraty przez społeczeństwo (dokładniej większość społeczeństwa - ludzi pracy najemnej) kontroli nad majątkiem społecznym i zasobami ekonomicznymi na rzecz wąskich elit uwłaszczających się solidarnościowej i postpepetrowskiej nomenklatury oraz stopniowej utraty niezależności ekonomicznej oraz podporządkowania gospodarki politycznym i ekonomicznym interesom Zachodu, przede wszystkim USA i Niemiec.

Pojęcia gospodarki „zamkniętej” i gospodarki „otwartej” odnoszą się do sfery zewnętrznych powiązań gospodarczych poszczególnych krajów, do sfery międzynarodowych stosunków ekonomicznych. Potrzeba wykorzystywania tych pojęć zrodziła się w związku z obiektywnym procesem postępującego umiędzynarodowienia i globalizacji współczesnego życia gospodarczego oraz nauki, techniki, informacji i kultury.

Jest rzeczą oczywistą, że w rzeczywistości, w praktyce ^{ma} nie obecnie państw o gospodarce narodowej całkowicie „zamkniętej”, odizolowanej od bliższego i dalszego otoczenia zewnętrznego. Przy osiągniętym obecnie stopniu rozwoju międzynarodowego podziału pracy i międzynarodowych współzależności ekonomicznych nie tylko kraje małe i średnie o ograniczonych zasobach i potencjałach produkcyjnych, lecz także państwa i kraje największe, o największych potencjałach ekonomicznych i naukowo-technicznych nie mogą - gospodarując normalnie - istnieć i rozwijać się w izolacji, bez określonych powiązań zewnętrznych, jako organizmy całkowicie, stuprocentowo samowystarczalne. Podobnie nie istnieją

gospodarki narodowe całkowicie „otwarte”, w których cały dochód narodowy realizowany jest na zewnątrz, za granicą przez wolny rynek, a państwo nie odgrywa żadnej roli w regulowaniu partnerów zagranicznych na rynek wewnętrzny. Jednak pojęcia „gospodarka zamknięta” i „gospodarka otwarta” mogą być użyteczne jako ujęcia abstrakcyjne, modelowe dla analizy różnych konkretnych wariantów stopnia włączenia poszczególnych gospodarstw narodowych do systemów regionalnego i ogólnosiwiatowego podziału pracy. Ujmując najogólniej przez gospodarkę „zamkniętą” w ścisłym znaczeniu należałoby rozumieć gospodarkę całkowicie izolowaną od otoczenia zewnętrznego, rozwijającą się wyłącznie w oparciu o źródła i czynniki wewnętrzne, samowystarczalną pod względem produkcyjnym i konsumpcyjnym, w której eksport i import nie odgrywają istotnej roli. Skrajnym wyrazem takiej sytuacji jest pełna autarkia, co, jak wiadomo, jest abstrakcją teoretyczną, gdyż w rzeczywistości występują różne warianty sytuacji pośrednich, w których występują w jakimś zakresie zewnętrzne powiązania gospodarcze.

Przeciwieństwem do tak rozumianej „gospodarki zamkniętej” jako autarkii jest skrajny przypadek „gospodarki otwartej” całkowicie pozbawionej jakiegokolwiek państwowej kontroli zewnętrznych powiązań gospodarczych i ochrony rynku wewnętrznego przed penetracją i konkurencją zagraniczną, podporządkowanej całkowicie żywiołowi wolnej konkurencji. Również tak pojmowana „gospodarka otwarta” w praktyce nie występuje, może być jedynie abstrakcyjnym modelem lub ewentualnie utopijnym ideałem skrajnych liberalistów.

Jest rzeczą oczywistą, że rozwój gospodarczy ujmowany długookresowo prowadzi do stopniowego „otwierania się” poszczególnych gospodarstw narodowych. Rozwój proeksportowy, „otwarty”, prowadzący do zwiększania zakresu włączania się danej gospodarki do międzynarodowego podziału pracy powinien realizować ekonomiczne korzyści wynikające z międzynarodowej specjalizacji produkcyjnej, korzyści wynikające z tzw. przewagi komparatywnej, uruchamiać dodatkowe źródła rozwoju gospodarczego i powiększania produktu społecznego i dochodu narodowego poszczególnych państw.

Stopień „otwarcia” danej gospodarki narodowej mierzy się na ogół stosunkiem wartości eksportu lub importu do produktu społecznego lub dochodu narodowego. Stopień „otwarcia” gospodarki poszczególnych krajów zależy, najogólniej ujmując, od osiągniętego poziomu rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego oraz od wielkości zasobów oraz potencjału ekonomicznego i naukowo-technicznego tych krajów. Na ogół im mniejszy jest kraj i jego potencjał ekonomiczny i naukowo-techniczny, tym większe jest jego „otwarcie” na zewnątrz, tym większą rolę w jego rozwoju odgrywa handel zagraniczny oraz zewnętrzne źródła wiedzy techniczno-technologicznej.

Jednak problem „transformacji” gospodarki zwanej umownie „zamkniętą” w gospodarkę „otwartą” nie może być rozpatrywany w ujęciu abstrakcyjnym, ogólnikowo i hipotetycznie bez uwzględnienia konkretnych historycznych i społeczno-politycznych uwarunkowań rozwoju poszczególnych krajów i regionów gospodarki światowej w końcu XX wieku. Z uwagi na to, że w warunkach gospodarki rynkowo-kapitalistycznej rozwój poszczególnych krajów jest z reguły nierównomierny, również procesy „otwierania się” poszczególnych gospodarstw narodowych przebiegają nierównomiernie i z różną „prędkością”. Dlatego również obecnie tzw. transformacja gospodarki „zamkniętej” w gospodarkę „otwartą” nie może być rozpatrywana w oderwaniu od wskaźników charakteryzujących miejsce danego kraju lub regionu gospodarki światowej w strukturze współczesnego międzynarodowego podziału pracy, charakter i strukturę jego powiązań z zewnętrznym otoczeniem i przede wszystkim z kapitalistyczną gospodarką rynkową Europy zachodniej, USA i całego świata.

Uwzględniając opóźnienia rozwojowe i cywilizacyjne krajów Europy Środkowo-Wschodniej i b. ZSRR w stosunku do krajów najbardziej rozwiniętych współczesnego świata przy rozpatrywaniu problemu „transformacji” gospodarki tych krajów w gospodarkę bardziej „otwartą” i czerpiącą większe niż dotychczas korzyści z udziału w międzynarodowym podziale pracy należy uwzględnić zróżnicowanie zewnętrznego otoczenia tych krajów. Niezbędne jest w szczególności rozróżnianie problemu „otwiera-

nia się” wobec krajów o podobnym lub niższym poziomie rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego i problemu „otwierania się” w stosunku do krajów o wyższym poziomie rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego.

Rozszerzanie powiązań gospodarczych z krajami o zbliżonym poziomie rozwoju pozwala, przynajmniej hipotetycznie, kształtować i rozwijać te powiązania na zasadach racjonalności ekonomicznej i opłacalności, wzajemnych korzyści, równoprawności i partnerstwa. Natomiast realizowane na siłę, motywowane względami pozaekonomicznymi „otwieranie się” - w warunkach wolnorynkowej konkurencji - w stosunku do krajów o wyższym poziomie rozwoju i większych potencjałach ekonomicznych (np. „otwieranie się” krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski wobec Niemiec i innych bardziej rozwiniętych krajów Europy zachodniej) przy istniejących różnicach w poziomach rozwoju oraz wyeliminowaniu regulującej roli państwa może prowadzić do wielu zagrożeń. Chodzi tu w szczególności o zagrożenie, iż owo „otwieranie się” będzie służyć interesom silniejszych partnerów niż interesom danego kraju. Interesy bardziej rozwiniętych krajów mogą w takiej sytuacji decydować o faktycznych celach, zakresie i bieżących perspektywicznych korzyściach politycznych i ekonomicznych takiego „otwierania się”. „Otwieranie się” na zasadach wolnorynkowej konkurencji krajów relatywnie zacofanych wobec krajów bardziej rozwiniętych nie gwarantuje automatycznie spożytkowania w interesie kraju mniej rozwiniętego korzyści z szerszego udziału w międzynarodowym podziale pracy i w szczególności korzyści wynikających ze specjalizacji w produkcji wysokoprzetworzonych, naukochłonnych towarów. Wręcz odwrotnie, bardzo realnym staje się zagrożenie narzucania niekorzystnych rozwiązań przez silniejszych partnerów dbających o własne interesy i zyski, konserwacji zacofania i neokolonialnego uzależniania kraju słabszego.

Abstrakcyjne dywagacje o przewagach gospodarki wolnorynkowej w dziedzinie międzynarodowych powiązań gospodarczych i naukowo-technicznych między krajami o różnych poziomach rozwoju, nie uwzględniające obiektywnej sprzeczności interesów ekonomicznych stają się zatem zbiorem pobożnych życzeń i zwykłym wciskaniem liberalnego propagandowego kitu. W szczególności kraje Europy Środkowo-Wschodniej ze względu na wskazane wyżej uwarunkowania nie mogą obecnie polepszać swoich pozycji w międzynarodowym podziale pracy w oparciu o zalecane przez liberałów „otwieranie się” i weryfikowanie się poprzez mechanizmy międzynarodowej konkurencji wolnorynkowej bez uwzględnienia udziału państwa i państwowej polityki ochrony rynku wewnętrznego oraz krajowego przemysłu i rolnictwa.

Preferowanie „otwartego”, proeksportowego modelu rozwoju gospodarczego prowadzi w warunkach współczesnych do wzrostu współzależności ekonomicznych między krajami (państwami) w skali regionalnej i ogólnosiwiatowej. Jest to ogólna prawidłowość rozwojowa. Ujmując problem abstrakcyjnie, modelowo można powiedzieć, że rzeczywiste współzależności między poszczególnymi krajami i grupami krajów mieszczą się w przedziale między całkowitą niezależnością i całkowitą zależnością od otoczenia zewnętrznego.

Rzeczywisty stopień współzależności zależy od całokształtu uwarunkowań wpływających na te współzależności, w szczególności zaś od stosunku sił ekonomicznych. W stosunkach między krajami o jednakowych lub podobnych potencjałach ekonomicznych i poziomach rozwoju współzależności te reguły mają charakter w różnym stopniu asymetryczny, wskazujący na zróżnicowaną, niejednakową wzajemną zależność rozpatrywanych krajów. Tego typu asymetryczne współzależności kształtują się obecnie, w warunkach tzw. kapitalistycznej transformacji pomiędzy krajami Europy Środkowo-Wschodniej i b. ZSRR a wyżej rozwiniętymi krajami Zachodu. Asymetryczność tę pogłębia fakt, że w wyniku stosowania imperialistycznej polityki „dziel i rządź” Stanom Zjednoczonym i krajom zachodnioeuropejskim udało się całkowicie zdeintegrować kraje Europy Środkowo-Wschodniej i b. ZSRR i nie dopuścić do powstania w zamian za rozwiązana RWPG wschodnioeuropejskiej organizacji gospodarczej reprezentującej - istniejące przecież obiektywnie wspólne lub zbieżne interesy krajów tego regionu i zwiększającej ich siłę przetargową w stosunkach z krajami bardziej rozwiniętymi. Przy braku takiego ugrupowania in-

tegracyjnego kapitału międzynarodowy, USA i Unia Europejska mogą wykorzystywać w swoich interesach sprzeczności między krajami wschodnioeuropejskimi i Rosją i uzależniać je, nie dopuszczając do uzgadniania i koordynacji ich interesów oraz zacieśniania współpracy niezależnie od dyktatu Zachodu.

Znaczenie asymetryczności we współczesnych współzależnościach między krajami postsocjalistycznymi a bardziej rozwiniętymi krajami Zachodu można zilustrować na przykładzie powiązań handlowych między Polską a Niemcami.

Antykomunistyczna propaganda prawicowo-solidarnościowa zużyła tony papieru na upowszechnianie i utrwalanie w świadomości społecznej poglądu o politycznej i ekonomicznej dominacji ZSRR nad innymi krajami b. RWPG. Określonej zależności mniejszych krajów b. RWPG od ZSRR nie można oczywiście negować. Jednak nadmiernie eksploatując propagandowo ten fakt prawicowa, liberalna propaganda nie zauważa i pomija milczeniem relacje i współzależności kształtujące się obecnie między Europą Środkowo-Wschodnią a Europą Zachodnią, w szczególności współzależności ekonomiczne między Polską a Niemcami.

Jak wiadomo w wyniku geopolitycznej reorientacji polskiego handlu zagranicznego pierwszym partnerem handlowym Polski poczynając od 1990 r. stały się ponownie, podobnie jak w okresie międzywojennym Niemcy. Przy tym udział Niemiec w polskim eksporcie i imporcie znacznie zwiększył się. O ile np. w 1938 r. udział ten wynosił około 14,5%, to obecnie sięga 35-38%. Natomiast udział Rosji w wyniku załamania się wymiany

handlowej z krajami b. ZSRR drastycznie zmniejszył się do około 5-6% i Rosja spadła z pierwszego na trzecie miejsce wśród głównych partnerów handlowych Polski. Bardzo mały jest także udział innych krajów WNP w obrotach polskiego handlu zagranicznego. Niewielki jest też udział innych krajów z b. RWPG.

Gwałtowny wzrost udziału Niemiec w obrotach polskiego handlu zagranicznego spowodował szybki wzrost asymetryczności w stosunkach handlowych między Polską a Niemcami. Asymetryczność ta wielokrotnie przewyższa asymetryczność występującą przed 1989 rokiem w obrotach handlowych Polski i ZSRR. Udziałowi Niemiec przekraczającemu znacznie 1/3 obrotów polskiego handlu zagranicznego odpowiada bardzo mały (około 1,5%) udział Polski w obrotach handlu zagranicznego Niemiec. Udział Niemiec ponad 23-krotnie przekracza udział Polski w obrotach handlu zagranicznego Niemiec. Stopień asymetryczności współzależności handlowych Polski i Niemiec około 7-krotnie przewyższa relacje charakteryzujące asymetryczność współzależności handlowych Polski i ZSRR w latach osiemdziesiątych.

Przy takim stopniu asymetryczności, jaka występuje w stosunkach handlowych Polska - Niemcy współzależność przekształca się w jednostronną zależność słabszego partnera, nie może więc być w takim przypadku mowy o współmierności współzależności oraz równoprawnych, partnerskich stosunkach. Nadmierna zależność handlowa i ekonomiczna nie może nie stanowić zagrożenia dla niezależności politycznej i nic tu nie pomogą propagandowe zakłęcia liberałów.

Redaktor Naczelny: Antoni Terlikowski
Wydawca: KSMP w Katowicach
Adres Redakcji: 41-300 Dąbrowa Górnicza
ul. Dojazdowa 16, skr.poczt.154